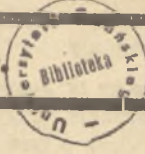


DZIS: JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II

Warszawa 17 Lutego 1946 r.



ciw 9013

Nr. 7 (13)

Włodzimierz Pietrzak

UWAGI O MAURIAĆ'U

Koncepcja katolicka życia, którą w powieści współczesnej podjął Franciszek Mauriac, daje literaturze pole widzenia niesłychanie rozległe. Z Mauriaciem przełamany został duch zakrycia, nieetykalne fatum uświęcenia, które każe człowiekowi oddzielić i inaczej myśleć o Bogu, niż na przykład o psychologii. Powieść Mauriaca udowodnia, że uczucie religijne jest czymś więcej niż uznaniem dogmatu, że uznanie dogmatu jest warunkiem katolicyzmu, lecz nie wyczerpuje istoty katolicyzmu. Ze postawa katolicka nie jest formułą do przepisania, lecz modlitwą, którą każdy człowiek na nowo i w innych zawsze warunkach pisze i odmawia. Mauriac zerwał ze swoistą pruderią, która nie jest może wyłącznie katolicyzmowi właściwa, bo opinię tę reprezentował nie tylko de Bouald, ale i August Comte.

Chrześcijaństwo powstało w dobie rozpadu wartości świata antycznego. Ludzie przestawali rozumieć warunki ziemskiego życia. Widoczna była tylko przemoc cesarzy i ich administracji, co mogło się tłumaczyć, ale było niedostateczne jako skala moralna. Pod osłoną praw zimnych i dyktowanych przez takich jak Tyberiusz i jak Kaligula ludzkie życie i wartość etyczna traciły jakiegokolwiek znaczenie. Cywilizacja się dopalała, a gasnącą lampę trzymał Heliogabal, człowiek o umysłowości bohaterów Wilde'a, a moralności Stawrogina. Taki świat mógł się wydawać złudzeniem, lub wymysłem piekła. Życie w nim mogło być traktowane jako łaska. Apel chrześcijaństwa, pisał Brzozowski, skierowany do opuszczonych, zebrał przede wszystkim tych, którzy w tym apelu dostrzegli prawdę moralną, wyższą niż porządek cesarów. Tych w następnej kolej, którzy, gdy się pod koniec miało starożytnemu światu, szukali jakiegokolwiek ostoi cywilizacyjnej, jakiegokolwiek organizacji. Gdy brakło władzy cesarów, społeczeństwo mógł tworzyć tylko kościół, który już władanie Konstantyna podtrzymywał znakiem krzyża. Obok civitas coeli powstawało civitas hominum, kościół jako ojczyzna, kościół jako walka z przyrodą. W ewolucji, u której początku stoi miecz świece Karola Wielkiego, ojczyzny oddzieliły się od kościoła. Nie przeszły przez życie kościoła zachodniego, rzymskiego, bez wpływu. Nie tylko antyk, lecz i północno-europejska ludowość tworzyła obraz duchowy chrześcijaństwa.

Civitas coeli zaczęła swój pochód historyczny pod znakiem spełnienia: nie potrzeba już szukać, skoro mamy Chrystusa. Port, którego władze wprawiają w siebie, że jest osłonięty od burz i każdy wicher od oceanu, każdy przypływ — traktują jako sprawkę szatana, jako powiew rewolucyjny — oto istota wszelkiego ultramontanizmu. Taki był pierwotny stosunek do życia: że może się zatrzymać w spełnieniu. Chrystus mówił wyraźnie: „Weźmijcie jarzmo moje na siebie, a uczcie się ode mnie, że jestem cichy i pokornego serca, a znajdziecie odpoczynek duszom waszym“. To jest wieczne: trzeba brać jarzmo, trzeba mieć do życia swój osobisty stosunek. Pragnienie wyjscia poza siebie jest tylko ambicją i sprawa zawsze wewnętrzny niepokój, wewnętrzne nieuporządkowanie. Czyn, który z pychy się rodzi, jest robaczywy, kruszeje. Istotą jest przyjęcie jarzma, przyjęcie obowiązku, związanie się czymś, co jest poza nami, co można ustawić poza nami.

Dążenie tego, co w kościele było wielkością, jest dążeniem do oparcia nie ziemi o niebo, lecz niebios o ziemię, do stworzenia związku między całością uniwersum a człowiekiem, związku człowieka i jego psychicznego życia z religią. Do stworzenia humanistycznego logosu. Była to epopeja trudu tragicznego, trafiała na trudności, lamala się w odstępstwach — herezje były koniecznymi ofiarami. Tradycja tego wysiłku ma na swej drodze naukę Tertuliana i ducha Torquemady, lecz również dzieło św. Augustyna i św. Tomasza.

A przecież jeszcze u Mauriaca istnieje wątpliwość, czy dobrym katolikiem i dobrym pisarzem można być równocześnie. Gide, mówiąc o roli pierwiastka demonicznego w sztuce, zauważył, że nie ma świętych wśród artystów i artystów wśród świętych. Franciszek z Asyżu jest świętym, lecz artystą, uwiedzionym przez pożądlivość tworzenia widzialności świata, jest Fra Angelico. Mauriac podkreśla w studium, które nosi charakter wyznania i stanowi jakby fragment jego nieogłoszonych „Correspondences“, „Dieu et Mammon“, konflikt między bezinteresownością artysty a duchem apostołskiego działania. Pisarz, aby dojść do prawdy, musi iść drogą poznania dobra i zła, a więc z konieczności musi przechodzić niejednokrotnie przez trzęsawisko moralne. Niewątpliwie, nauka Tertuliana, że poznanie pochodzi od złego ducha, jest błędem; nauka, że człowiek sam niszczy zbawcze działanie ofiary krzyża, gdy kuś się o wiedzę, a pokusa wiedzy już raz doprowadziła do grzechu pierworodnego.

Lecz w dziele sztuki jest inaczej, niż w przeżyciu indywidualnym. Pisarz ujawnia zło w całej ohydzie i wbrew zamiarowi naraża czytelnika na zetknięcie ze złem, tworzy pokusę. Wedle katolicyzmu zło trzeba w sobie przełamać i zniszczyć, nawet spowiedź katolicka nie jest publiczna. Nikt nie jest bardziej winny; jak ten, kto innych naraża na upadek. Ból wobec zła jest jedynym uczuciem, które łączy pisarza i chrześcijanina. Lecz ból, pisze Mauriac, promieniuje ze siebie wpływy nieobliczalne, nawet wtedy, gdy łączy się z intencją potępienia.

Przepaść grzechu jako miejsce uzyskania własnej świadomości duszy — oto co wyrażał Wiliam Blake. Wstręt do zła i świadomość, że zło istnieje, że istnieje

cierpienie. Wydaje się, że w życiu tego zasadniczego konfliktu, jak w ogóle kontrastów, nie da się pominąć ani pogodzić. Pogodzenie kontrastów jest fałszywe: nie godzi ich w rzeczywistości, godzi je dla nas samych, uspokaja nas, lecz sprawy nie złatwia. Z walki kontrastów wyłaniają się nowe formy, wyłania się życie. Pisarz, który potrafi dokonać tej automistyfikacji, jaką jest pogodzenie kontrastów, niewątpliwie odnajduje doskonałość. Jest to jednak doskonałość faryzejska, polegająca na przymknięciu oczu. Nie chce się zobaczyć tego, co istnieje. Robi się wysiłek umysłowy, aby zatrzeć prawdę — w imię pragnienia, w imię niemocy, w imię zle odczuciu nakazu moralnego.

Prawdziwy artysta — mówi André Gide — jest w trakcie pisania zawsze tylko na pół świadomy siebie, nie wie, gdzie jest i poznaje siebie dopiero przez dzieło. Kto odnajduje doskonałość, polegającą na automistyfikacji, na manewrze wobec wewnętrznych antagonizmów życia, może niewątpliwie pisać w pełni świadomie. Jego pisarstwo nie jest walką, lecz naśladowaniem doskonałości, naśladowaniem siebie, ma więc granice, jest skończony, dokładny i zimny — jak rady dyrektora sumienia. Dyrektor sumienia jest funkcjonariuszem, jest urzędnikiem, nie przewodnikiem, nie współtowarzyszem. Sprawuje funkcję i przez to jest instytucją zewnętrzną, oficjalną, oschłą. Jego rola opiera się na strachu.

W tym właśnie koncepcja życia u Mauriaca jest nowa, gdy chodzi o powieść katolicką. Nie ma w niej zimnej doskonałości, która może porażać i rzadko nawet budzić chęć do naśladowania. Ale zawsze jest obca, zewnętrzna, zbyt trudna w przeżywaniu, bo nie liczy się z przeżyciem, które zawsze ma odchylenie i piętno indywidualne. Mauriac chwycił ten kąt indywidualny. Nie jest kaznodzieją w pisarstwie, nie jest retorem. Nic z krasomówstwa, rzeczowości, wynikająca ze skupionej obserwacji.

Nad „Wyznaniami“ Rousseau widnieje wizja wielkiego człowieka, deklamatorska i pompatyczna, jakby wzorowana na Plutarchu. Rousseau wierzy w Plutarcha; dopiero Courier, uczestnik wojen napoleońskich, daje wyraz niezadowolaniu wobec tej wizji, umieszczonej na kołnierzu, gdy pisze poprostu, a nie bez pa-

sji, że Plutarch kłamał, że ludzie żyją inaczej. W tej kontrowersji dwu poglądów, oddzielonych rewolucją 1789 i kampaniami Napoleona, Mauriac stanąłby po stronie Courier'a. Jego bohaterowie nie są ludźmi z Plutarcha. Powieść romantyczna długo nie mogła sobie zdać sprawy, że Plutarch nie jest prawdziwy, z czego zdawał sobie sprawę Stendhal — odrazu. Taka jest rola Mauriaca w rozwoju powieści, wyrażającej katolicką koncepcję życia. Mauriac nie nosi maski.

Czyni to w pełnej świadomości, czego dowodem jest „Dieu et Mammon“ i jego wniosek końcowy, że czystość osobista autora, jego stan bez grzechu, tworzyć będzie mur moralny między obrazem zła a możliwością powstania pokusy. Przenosi ciężar zagadnienia ze sfery rozważań literackich i psychologicznych w sferę doznania religijnego, katolickiego. Nie będziemy iść dalej. Ale nie wydaje się, aby to miał być katolicyzm niedobry. Niedobrym katolicyzmem jest to wszystko, co zostało poczęte z ducha Tertuliana.

Wydaje się natomiast, że niedobry jest ekshibicjonizm moralny Mauriaca, równie jak Bernanosa. Jest nieestetyczny — co tu dużo mówić. Zarzut ten odnosi się do swoistej kokieterii tych pisarzy, do owego gestu — patrzcie, jakie to ja mam problemy. Ten nastrój małej pychy nie łączy się wcale z uwagami Mauriaca o doskonałej czystości duszy katolickiego pisarza. U Dostojewskiego był problem odpowiedzialności człowieka za siebie. U Mauriaca i Bernanosa zagadnienie wygląda inaczej — za jak trudne, jak niesamowite rzeczy człowiek musi odpowiadać. A nawet nie odpowiadając, u obu tych pisarzy jest rewia pokus. Ich bohaterowie lubią ekwilibrystykę w obliczu pokus: ogarnąć pokusę myślą i zmysłami, ale odrzucić ją wolą i przez to być czystym. Bernanos śledzi ciągle intencję. Intencja stanowi o niedopuszczalności postępków z punktu widzenia grzechu, to prawda. Ale ten katalog pokus przypomina bardzo muzeum kryminologiczne. Leżą tu niemal wszystkie narzędzia zbrodni. Podziwia się wyczyny policji, że aż tyle tych przedmiotów zebrała. Nie ma się ochoty ich brać do ręki. Są drażniące nawet nie ze względu na swoje przeznaczenie a poprostu dlatego, że stanowią pewną peryferię naszego życia. Jeżeli chcemy mieszkac na tym przedmieściu, zdomowić się w tym muzeum, to jest to już perwersja. Trochę inna w gatunku, niż Chants du Maldoror Lantreamonta, czy powieści Bruno Schulza. Ale pod obsesją, dla której nie ma powodu być bezgranicznie wyrozumiałym, skoro ona nie jest w stanie zagarnąć nam całej duszy, a tylko jeden kącik, jedną stronę, jak kiedyś zagadnienia katolickie — obok życia seksualnego — w „Wiadomościach Literackich“. Ta literatura polega na smaczku i dlatego budzi refleksję, może nie odrazu, ale trochę później. Bo ostatecznie istnieje gałąź specjalna literatury sensacyjnej. Toczy się ona dość odrębnym nurtem, ma swoich zdeklarowanych zwolenników, jest jednak trochę na boku głównego nurtu w kulturze. Tym głównym nurtem jest walka o siebie, dobrze, nawet z pokusami. Ale z jednym zastrzeżeniem: to nie jest walka francuska w cyrku na pokaz, choćby dobrze zrobiona. To jest właśnie walka. Coś bardziej na serio, mniej lustra. Może mniej skrupułów, niż u Mauriaca, ale i mniej epatowania, mniej podziwu dla własnego heroizmu moralnego.

Włodzimierz Pietrzak

Iwa Zet

Polski Święty

Ta droga...
Płyną po niej wierzby rozpaczę —
Wierzby cienie listeczkowe —
rosochate włosy płaczków —
rozdartych snień nieutulone głowy,

Ta droga...
Krzemienna, wyschła łąka —
do rudej i czarnej wypalona skargi.
Droga zdeptana.
Pękły głogi... krew na wargach.
Życiem — tylko ciernie w gąszczach,
Kamień zamiast domu progu.

Noc — biedota w czarnych chustach
w sobie się kuli.
Dzień — okrągła niebios rana.
Myśmy tam szli... chouzimy...
Wiew ulgi ledwie skroń muska

Ty idziesz podobnie
siermiężną wyrzeczeń godziną.
Tylko Tobie Bogiem gra echo żałobne.
Tylko wiatr Twą głowę tuli.
Idziesz jak my, między wykroty
bezmyślnie wyciętych drzew.
Tylko ku Tobie chwytiliwe
ciągną przestrzeni tęsknoty.
Nad Tobą przemilczeń śpiew —
błękitne natchnień ogniwo.
I tylko w Tobie dzień Jutrem objęty
Wiem... Jesteś nasz święty.

Nadejdiesz w jakiejś niepojętej chwili —
wyczekiwania ciemni,
gdzie tylko myśl tli biało.
I duszę Ziemi
I Nieba Ciała
W dzień pracy nam przychylił.

Dm 179, 1052

Paweł Jasienica

Problemy słowiańskiego porozumienia

PRAWO PERSPEKTYWY

Opory i trudności zagadnienia podlegają ogólnemu prawu perspektywy. Porozumienie słowiańskie ma nastąpić na pewnym rozległym, lecz mniej więcej ściśle określonym terenie. Od lat tysiąca budowała na nim historia.

Kto rzecz ogląda z Warszawy, Belgradu, czy Moskwy, temu w polu widzenia rosną wzniezione przez historię fakty. Będzie dlań stanowczo lepiej, jeśli uzna je za zjawiska realne i żywe, nie zaś za martwe rumowisko dziejów. Ogarnąć sprawę okiem można bowiem tylko wtedy, jeżeli się znajdzie punkt obserwacyjny wyniesiony wysoko, lecz nie nad ziemią położony. Widok z lotu ptaka dobry jest dla globtrottera, nie dla polityka. Ten ostatni musi stale stopami wyczuwać grunt.

Rzecz zmienia się w miarę oddalania się od geograficznych południków, ograniczających słowiański wycinek globu. Już dziś się wydaje, że nie ma zasadniczych rozbieżności między emigrantami słowiańskimi na Zachodzie.

W państwach Ameryki Południowej bracia Słowianie uważają swą jedność za fakt dokonany. Ośrodkami organizacyjnymi stają się dla nich instytucje polskie, jako założone przez najsilniejszy i najpoważniejszy odłam słowiański w Ameryce.

Aczkolwiek faktów tych lekceważyć nie należy, to jednak nie one rozstrzygną o przyszłości. Wyraża się w nich tendencja ogólna. Jedność słowiańska w Ameryce dokonywuje się w warunkach zbliżonych do laboratoryjnych, aseptycznych, gdzie potężne filtry przestrzeni i warunków izolują od toksyn historii. Wystawiony Polonii Amerykańskiej dopiero tu — w Europie — przekonują się ze zdziwieniem, że nie wszystko się układa tak zgodnie i wygląda tak różowo, jakby się wydawało patrzącemu z Buenos Aires. Wieloraka europejska rzeczywistość dochodzi do głosu dopiero w Europie.

Był niedawno w Warszawie pewien Polak z Ameryki Południowej. Pochodzi z Wileńszczyzny. Kraju nie oglądał przez lat 35. Opowiadał o brataniu się Słowian z oceanem, o ich naiwnych mniemaniach, że skoro Niemcy leżą, to czegoż więcej potrzeba. A zakończył tak: „A ot, prosza pana, ja nauczył się dwu nowych polskich słów: „szaber i bimber“.

W RZECZYWISTOŚCI W TERENIE

Jeżeli nawet przytoczone wyżej nowotwory uznamy za słowa „polskie“, to jednak zagadnienia, a raczej substancje, których one dotyczą, należą do dziedziny zainteresowań ogólnosłowiańskich. Żaden bowiem z przemierzających dziś Polskę bratnich szczepów od nich się nie odżegnuje. Nie czynią tego i autochtonowie.

Miejmy jednak nadzieję, że „szaber i bimber“ nie wszystkich zubożętni wobec rzeczy istotnych, a kwestia zegarkowo-walzkowa dokona jedynie powierzchownych zadrażeń. Kończyć z nią zresztą należy jak najszybciej. Wspomnienia i tak będą długo dokuczać.

Żaden realista nie lekceważy wagi wspomnień. W historyczno-politycznej rzeczywistości bowiem są one często faktami wielkiej wagi. Trudno w naszym starym i skomplikowanym świecie wysunąć koncepcję, wokół której nie opłatałyby się zaraz pasma wspomnień, gdzieś tam w ciżbie historii zaczepione o inne nabiegle krwią wydarzenia. Postulat porozumienia Słowiańszczyzny obfituje w nie nad miarę. Za — przemawia choćby i ziemia, która zgromadziła prochy wytraconych przez Niemców plemion zachodnich. Przeciw — świeża pamięć praktyk politycznych caratu.

Postawmy kropkę nad i. Urzeczywistnienie haseł słowiańskiego porozumienia zależy od stanu rzeczy na linii politycznej: Moskwa — Warszawa.

Nie jest to żadna megalomania narodo- wa, lecz właśnie realna ocena rzeczywistości. Problem w terenie, oprócz wspomnianych już ZSSR i Polski, obejmuje Czechy i Bałkany. W Czechosłowacji żadnych

oporów antyrosyjskich nie było i nie ma. O tym wszyscy wiedzą i szkoda słów na udowadnianie rzeczy znanych. Spór polsko-czeski w skali ogólnej uznać należy za mikroskopijny. Zresztą prawa tarcia nie usunie się z historii równie dobrze, jak i z przyrody.

Stan rzeczy w Jugosławii wskazuje na to, że tendencje przyjazne Rosji są tam górą. Świadczy o tym chociażby przemożna sytuacja marszałka Tito. Istnieją tam wprawdzie nieporozumienia między narodami, tworzącymi to złożone państwo. Jednakże nie są to sprawy zdolne przeszkodzić dziełu politycznego porozumienia wielomilionowej masy słowiańskiej.

Kiedy w 1904 roku rosyjska eskadra bałtycka ruszała na Daleki Wschód, jeden z pancerników osiadł na mieliźnie. Podobno dowodzący admirał kazał wówczas marynarzom biegać ławą od jednej burty do drugiej, żeby okręt rozkolebać. Biegali — a liniowiec ani drgnął. Masę rozruszać może tylko inna masa lub energia, w jakikolwiek sposób równoważna.

Dlatego też dla niniejszych rozważań kwestią kluczową jest największa w Słowiańszczyźnie masa — ZSSR. Nie przypuszczam, żeby jakieś antyrosyjskie tendencje w Bułgarii mogły przemożnie zawazyć na szali. Ciężar gatunkowy tego niewielkiego kraju jest na to zbyt mały.

W całej Słowiańszczyźnie istnieje jeden tylko kraj, mogący porozumienie jeżeli nie zniweczyć, to w każdym razie ogromnie utrudnić. Jest nim Polska, drugie po sowieckiej Rosji państwo w rzeczy słowiańskiej. Oczywiście, rozmiarów i zasobów Polski nie da się porównać z rosyjskimi. Jeszcze Aleksander III mawiał, że Rosja jest częścią świata. Jeśli ustępujemy pod względem ilościowym, to jednak pod względem jakościowym możemy być partnerem. Mam na myśli poczucie i fakt zupełnej odrębności historycznej. Tego właśnie nie posiada żadne z pozostałych państw słowiańskich, nie wyłączając Czech, które zbyt krótko były, naprawdę samodzielne. Polska niezawisłość okrzepła w przeciągu lat tysiąca. Nie zamierzam kwestionować uczuć niepodległościowych u innych. Chodzi tu jednak o pewien aspekt. Poczucie odrębności u żadnego ze słowiańskich narodów, z wyjątkiem właśnie Polski, nie posiada antyrosyjskiego posmaku. Taki jest rezultat 600 bezmała lat naszej popiastowskiej historii.

Zarówno wojny polsko-rosyjskie, jak i ich psychiczne rezultaty, są faktem historycznym. Jeśli kto zamierzył budować nową rzeczywistość, to powinien liczyć się z faktami bez względu na to, czy przyuczyni ich uzna za dodatnie, czy ujemne.

CIEŻAR HISTORII

Walki między Polską i Rosją trwały lat setki, absorbowały siły obu państw i toczono je na zasadzie równi z równymi. Wprawdzie podczas tych zmagania zdarzyło się, że rosyjscy imperatorowie zdobyli na czas dłuższy Warszawę, ale bywało i odwrotnie. Od czasów niewoli tatarskiej Moskwa była wzięta dwukrotnie. Raz uczynili to sami Polacy. W 200 zaś lat później w składzie Wielkiej Armii Napoleona.

Napewno nie będzie nikogo, kto by słowa powyższe ocenił inaczej, jak tylko jako stwierdzenie faktów niezaprzeczalnych, których skutki istnieją do dziś.

Żeby zupełnie uspokoić zaniepokojonych zaczerpnę z innej beczki. Rosja niewątpliwie dopomogła do ocalenia kultury polskiej przed hitlerowską zagiadą. W drugą stronę: rola uniwersytetów w Wilnie i Lwowie, uczelni przez stulecia polskich, ich kulturalne wiekowe promieniowanie na obszary Słowiańszczyzny wschodniej.

Nabijałiśmy sobie rozliczne guzy. Ale też niejedno sobie nawzajem zawdzięczamy.

Nie lękamy się ani nowoczesności, ani przemian społecznych, ani ludowej formy rządów, o ile uszanowane zostaną zasady niezmiennego moralności chrześcijańskiej.

Kardynał August Hlond, Prymas Polski
28.X.1945.

Założeniem jednak tego artykułu jest uwypuklenie trudności, istniejących na drodze słowiańskiego porozumienia. Ważne tu jest to, co nas dzieli. Otóż tradycje wzajemnej walki weszły w krew zarówno polskiego, jak i rosyjskiego narodu. Są one żywe nie tylko w jakichś zamkniętych sferach, ale odwrotnie w masach. Przecież przeciętny obywatel sowiecki historię swego kraju zna i, jak rzeczywistość wykazała, przeżywa w sposób emocjonalny. Podobnie się rzecz ma i z przeciętnym obywatelem polskim.

Motory historii wytworzyły w ciągu wieków energię, przenikającą oba narody. Ona to właśnie, ta energia, nieumiejętnie i po partacku rozpetana, zdolna jest stworzyć największe trudności. Nigdzie w całej Słowiańszczyźnie nie ma siły, mogącej równie łatwo popsuć całą robotę.

Pisze się zazwyczaj, że stosunki polsko-rosyjskie psują ci, co spekulują na wojnę. Tezy tej nie uważam za słuszną. Bo ani Polska nie jest zdolna do samodzielnej wojny ze Związkiem Radzieckim, ani też Anglosasi jej o sprawy polskie nie rozpoczną. Wszystko to może wywołać najwyżej naskórkowe podrażnienia.

Możliwości rozwiązania problemu zależą także i od polityki Rosji i od realnych przejawów tej polityki, które powinny być tak samo poważne, jak poważna jest sprawa porozumienia słowiańskiego.

Jedno zastrzeżenie: nie mieszajmy wy- bryków z polityką. Jeżeli np. jakiś pod- pity Artiom podbije komuś oko, albo zwał kawał słoniny, to przecież rząd Związku Radzieckiego tego bynajmniej nie pragnął i do postępów takich nie namawiał. Znaczenia tych incydentów nie należy przeceniać, ale też i lekcewa- żyć ich zupełnie nie można.

KAMIEN SYZYFA

Dawniej, kiedy o wszechsłowiańskiej polityce roił carski Petersburg, działania na odcinku polskim odbywały się według pewnej, raz na zawsze ustalonej recepty. Zobrazował ją najlepiej Żeromski w „Syzyfowych pracach“.

Oto w Klerykowie — Kielcach dyrektor, czy inspektor tamtejszego gimnazjum pozyskał dla swych celów grono uczniów Polaków. Zorganizował ich w quasi-towarzystwo „małych uczonych“. Młodociani badacze pisują obszernie rozprawy, w których obrazują przeszłość Polski i formułują nowe cele. W ich przedstawieniu dzieje ojczyzny, to mordowanie chłopów przez szlachtę, dokonywane przy akompaniamencie okrzyków: psiakrew i psiadusza. Referaty nie szczędzą też nieszczęsnej „przywiślańskiej grzesznicy“ przestrogi, tudzież pouczeń.

Już się zdawało, że pan dyrektor cel swój osiągnął. Aliści wystarczyło jedno spięcie: skojarzenia wspomnienia o zabitym powstańcu z wierszem Mickiewicza, aby cały — w niemałym trudzie wznoszony gmach — runął. Kamień Syzyfa potoczył się w dół, boleśnie obtłukując kończyny dolne osób bezpośrednio zainteresowanych. Marcin Borowicz tęgo walił błotnymi pigułami w cylinder i kołnierz swego niedawnego protektora, profesora Majewskiego.

Wydaje mi się, że i dziś rozwiązanie wzajemnego stosunku Rosjan i Polaków zależy od tego, czy uda się wynaleźć sposób postępowania, mądrzejszy od dopiero co opisanego. Jeśli chodzi o stronę rosyjską, to pewne fakty dają powód do optymizmu. Mam na myśli dzisiejszy stosunek narodu radzieckiego do własnej historii. Jakże daleko jesteśmy od chronologicznie bliższych czasów, kiedy to nawet w szołochowskim przedstawieniu wszystko, co robili generałowie carscy w czasie pierwszej wojny światowej, było głupie, znacznie głupsze od przedsięwzięć ich niemieckich przeciwników. Chyba nie-

wielu ludzi zachwyca się dziś w Rosji książką Nowikowa Priboja, paszkwilem na męznego i wytrwałego admirała Rożdżestwienskowa. Zaprawdę, wysoko w opinii radzieckiego narodu stoi dziś dawna Ruś, prawosławna, książęca, bo- jarska. Zrozumiano bowiem, że wielkość socjalistycznej ojczyzny nie wynika z żadnej najgrubszej nawet książki, lecz utrwaliły ją krew i pot wielu pokoleń. Rosję bierze się dziś tam taką, jaką ona jest, to znaczy jaką wytworzyły dzieje.

Ten realizm w ocenie własnej przeszłości pozwala się spodziewać podobnej postawy wobec kontrahenta, z którym się pragnie zawrzeć realne porozumienie. Polska też jest tylko taka, jaka jest: rzeczywista, nie wymaginowana. Porozumienie może nastąpić tylko z Polską rzeczywistą.

Możemy i powinniśmy dążyć do wielu zmian ustrojowych: gospodarczych, społecznych, do pełnej demokratyzacji życia. Nie ma powodu do przetwarzania istoty naszej kultury. Nie ma powodu do rezygnowania z pełnej odrębności.

A zresztą nie ma absolutnie żadnej nadziei na to, żeby się taki zamysł udał. Moment jest bowiem szczególnie niesprzyjający do wszelkiego rodzaju kajań. Każdy z nas wie o mankamentach naszej bliższej i dalszej przeszłości. A jednak najbliższa przeszłość może w nas tylko utrwalić przekonanie o bezcennej wartości rdzenia naszej narodowej kultury i obowiązującego u nas kodeksu moralnego. Żaden naród nie był w tak fatalnym położeniu, jak my. I żaden nie walczył z Niemcami ofiarnie. Nie przewyższył nas nikt. Nie wynaleziono jeszcze takich represyj, które by mogły Polaków moralnie złamać. Wniosek stąd prosty: wiele błędów zawiera nasza historia, ale w tym, co najważniejsze, wychowała nas dobrze.

Rozumie to rząd Związku Radzieckiego. Najlepszy dowód, że wiele uwagi sprawom polskim poświęca.

Szkodliwymi zaś są wszelkie rodzime próby przekreślenia całych dziedzin naszej kultury; pejawiające się w niektórych wypowiedziach prasowych.

Panowie, jesteście śmieszni! Śmieszny jest ten badacz i komentator porozbiorowych dziejów Polski, który imponderabiliów w rodzaju patriotyzmu i żołnierskiej wierności zauważyć nie jest w stanie. Tak zupełnie, jak ten ktoś z rosyjskiego wiersza, co to wszystko w zoologu obejrzał, „tylko słonina nie primietil“.

Napisano, że „zawsze w tej nieszczęśliwej Polsce każdy robi nie to, co do niego należy“. Był czas, kiedy tekę ministra piastował u nas absolwent „kawalerijsko wojennowo uczuliszcza“. Dziś do rozstrzygnięcia zagadnień takich, jak sprawa wszechsłowiańskiego porozumienia, biorą się ludzie nie zawsze zdolni do realnej oceny rzeczywistości. Skutek podobnej roboty: wypchania szpilek w miejsca szczególnie czułe, kazań i nowych pod adresem „przywiślańskiej grzesznicy“ pouczeń może być tylko jeden: ten sam zupełnie, jakiego się dopracował ze swymi „małymi uczonymi“ jakiś Kriestoołradnikow w Klerykowie - Kielcach. W jego to ślady wkrocza pan Kazimierz Brandys z „Odrodzenia“, który obarcza Polaków całą odpowiedzialnością za aktualny brak wzajemnego zrozumienia. W rzeczywistości zaś winy leżą po obu stronach, a jednokierunkowe oskarżenia mogą tylko zniechęcić posądzanych.

Wydaje się, że zrozumienie między Polakami a Rosjanami leży w płaszczyźnie możliwości. Wstęp do jego realizacji polega na wzajemnym poznaniu. Nie chodzi tu, rzecz jasna, o propagandowe i polityczne, oficjalne materiały, ale o wnikięcie w treść życia obu narodów.

My, Polacy, naogół dość słabo orientujemy się w przemianach, zaszłych w Rosji. To samo dotyczy szerszych kół społeczeństwa radzieckiego.

Sprawa jest tak ważna, że nie obawiam się powtórzenia rzeczy już powyżej powiedzianych. Chodzi o poznanie wzajemnej odrębności i szacunek dla niej. Oraz o postępowanie na zasadzie: równi z równymi.

Paweł Jasienica

Andrzej Augustowski

Nowy Świat

Przed Mickiewiczem przejechało kilka czołgów. Robiły szalony hałas i ludzie krzywili się. Nie wiem dlaczego porównałem ruch, panujący tego dnia po godzinie czwartej na Krakowskim Przedmieściu z ożywieniem przedświątecznym i uparcie szukałem dość wątpliwych podobieństw.

Ludzie śpieszyli się, jedni potracali drugich, wzrok ślizgał się zaledwie po szybach wystawowych, przed kościołem zdjąłem kapelusz i niosłem go już dalej w rękę, było mi bowiem gorąco, kobiety niosły ze sobą zapach perfum jak niebieskawą tiul, po czołgach została woń spalin.

Gdy przebiegłem przed tramwajem, ruszającym z przystanku na Królewskiej, zdałem sobie sprawę, że jestem dopiero w połowie drogi między domem i wyznaczonym punktem na Nowym Świecie. Doznałem wtedy emocjonującego uczucia zawieszenia w niebezpiecznej pustce, które nie może, nie powinno trwać zbyt długo, bo byłoby to jakimś przekornym drażnieniem losu. Wyobraziłem sobie, że podobnie muszą się czuć chłopcy, którzy w poszukiwaniu wrażeń przekręcali się na huśtawkach, ustawionych przy Placu Krasiańskich, na drugą stronę, stojąc czasem parę sekund do góry nogami i bodąc nimi niebo w tej drwiącej z praw fizyki pozycji.

Tramwaj dzwonił jak oszalały i nim zdążyłem skojarzyć sobie z tym dźwiękiem odgłos dzwonoń kościelnych, zwiastujących zdarzenia doniosłe i groźne, gdy z głębi Królewskiej rozległa się seria strzałów.

Były one czymś tak harmonijnym w ówczesnym układzie warszawskiej ulicy, że reakcja nastąpiła prosto i bez popłochu: niektórzy wbiegli do bram, inni śpiesznym krokiem usiłovali wydostać się z niespokojnej okolicy, tramwaj, dzwoniąc przenikliwie, odjeżdżał w Krakowskie.

Zrobiło się pusto. Zza narożnego domu kilku żołnierzy niemieckich strzelało niepewnie w Królewską. Blżej i dalej huczały strzały i detonacje. Na klatkach schodowych czekali ludzie, kobiety i mężczyźni, przypadkowi przechodnie, wracający z pracy urzędnicy, i młodzi ludzie, którzy nie dotarli...

Zrozumiałem wtedy, że powstanie już wybuchło i że jestem odcięty.

Strzały wystukiwały upływające minuty i kwadransy, w echach salw nadchodził zmierzch.

Pragnienie działania za wszelką cenę opanowało mnie tak silnie, że zaćmiło logikę myśli i rozumowania. Wydało mi się, że wśród wszystkich możliwych dróg pozostaje jedna tylko: rezygnacja z osiągnięcia Nowego Świata i powrót do swoich, na Stare Miasto, którego ciasne uliczki były domem i warownią jednocześnie.

Obok kilkunastoletnia dziewczyna z Piwnej rozmawiała ze swoją ciotką.

— Co z nami będzie, już dochodzi siódma?

— Tak, tak, moje dziecko, trzeba iść, trzeba wracać, tam się niepokoją — marmotała niejasno ciotka.

— Ale ciciu, strzelają. Widziała ciotka? Na rogu Krakowskiego leżą zabici.

Wyjrzałem przez żelazne koronki bramy ku ulicom. Wiał pustką i strachem. Strzały milkły na chwilę, potem odzywały się znów blżej i dalej, jakgdyby wiatr zbliżał je i oddalał. Gdzieś jechały czołgi. Na środku jezdni leżały trupy. Starając się nie myśleć, że trzeba przechodzić obok obsadzonych przez Niemców bloku Kwaterunku, Komendy Miasta, Europejskiego, Bristolu, Rady Ministrów, cofnąłem się na klatkę schodową.

Umilkły już dawno głośnie początkowo rozmowy, różne żartobliwe lub maskujące się żartem uwagi „no, długo tam jeszcze“, „mają zdrowie z tym pukaniem“, „psiakrew, spóźnię się na obiad“ ugrzęzły w ciężkiej ciszy. Ludzie milczeli albo zbici w małe grupki oddawali sobie szepczeniem niepokój i wspinający się chłód.

Odezwałem się, unikając twarzy ciotki i jej histerycznie biegających oczów:

— Panienko, za dziesięć minut wracam na Stare Miasto, pójdziemy razem? Razem będzie, no, weselej!

Weselej... To było odpowiednie wyrażenie. Są dwa wyjścia: albo zastrzelą, albo nie, ale w obu wypadkach razem będzie weselej. Więc cóż, panienko z Piwnej, pójdziemy?

Patrz na nas inni. Powziąwszy decyzję czuję ulgę i odpływ przytłaczającej bezradności. Uśmiecham się do niej. Więc?

— Tak, dobrze, pójdziemy razem, ciciu, pójdiesz z nami? Wracamy.

Oczy histerycznie rozbiegane. Kręci jak pajac małą główką. Powtarza piejąco:

— Strzelają, strzelają...

Robię gest znudzenia:

— Nie każda kula trafia. — A do dziewczyny: — Więc idziemy sami. Trzeba podnieść ręce do góry i naprzód. Trochę niewygodnie i głupio, ale aby dojść do domu, prawda?

Ona: — Tak. Idziemy.

Wtedy starszy, wygolony pan z bambusową laską zapala papierosa i poprawia kapelusz. Mówi jakby do siebie: dosyć tego czekania, wracać trzeba do domu. Nie oglądając się mówi spokojnie — dobranoc — i wychodzi. W bramie słychać jego kroki. Jest już na ulicy. Porozumiewam się oczami z dziewczyną: widzisz, jakie proste?

Wtem blisko, blisko grzmiały strzały, jeden, drugi, cztery, seria z automatu. Więc tak. Nie wrócę na Stare Miasto. Nie wrócimy do domu, panienko. Gdy wyglądam, widzę go leżącego na trotuarze niedaleko bramy. Ulica jest znów milcząca i nieruchoma. Tylko smużka niebieskiego dymu z papierosa plecie się jak zwój serpentyny.

Wiem, że pachnie kadzidłem.

Noc na zimnych schodach. Dzień na klatkach schodowych. Lecą z nieba płachty urzędowych obwieszczeń. Powstanie będzie zgniecione. Poddać się! Kapituluwać! Bramy zamknięte. Puste ulice. Strzały. Każdy dom to wyspa.

Kiedyś tam, o świcie dobija się ktoś do bramy. Chłopak w czapce kolejarzkiej. Idzie z... Żoliborza. Przechodził przez Stare Miasto, tak, barykady, wszędzie nasi, mają białoczerwone opaski, uzbrojeni. Zachłystuję się zdumieniem i wściekłością.

— Byłeś u naszych!! I — jesteś tu?

Chłopiec ma jasne oczy i niewiele lat.

— Mama mieszka na Czerniakowie. Chciałem do domu.

Ale dalej nie ma drogi. Tłomaczę mu, że nie należy nadużywać uprzejmości anioła, który go doprowadził aż do Królewskiej.

Piwnice łączą się w długie korytarze pod kilkoma sąsiednimi domami. Na podwórzowym placu od Krakowskiego rosną kasztany. Gdy nurkowce, atakujące Plac Dąbrowskiego, zanurzają się w ich zieleni, poznana wczoraj (czy przed latami) Halina mruży oczy. Za chwilę detonacje wstrząsną murami śródmieścia.

Pod tymi właśnie kasztanami kopiey moglię dla nowej ofiary spod bramy. Świeci słońce i niebo jest niebieskie. Nie wiadomo jak się nazywa i kim był. Ktoś mówił, że to chyba cygan. Niech więc spoczywa w spokoju śniady cygan, który znalazł wreszcie dom swój pod zielonym szumem kasztanów.

Którejś nocy od górnych pięter aż do piwnic biegnie alarm: Niemcy dobijają się do bramy od Królewskiej.

W piwnicy, w której siedzę, zostaje tylko kilka osób. Inni rozbiegają się w nerwowym poszukiwaniu schronienia. Cisza. Słychać zgóry głosy i kroki po schodach. Halina, leżąca niedaleko, na sienniku oddycha szybko. Płonie żółto świeca. Idą. Zamykam oczy i staram się ukryć w pozorach snu. Bokiem oka widzę drzwi, pchnięte gwałtownie ich ręką. Wpadają jak szatani. Z rewolwerami i peemami w rękę rozbiegają się po korytarzu. Dwaj z SS, sierżant w czarnym mundurze broni pancernej, żandarm i młody lotnik. Po ich kolebiących się ruchach poznaję, że są pijani. To daje nam nieoczekiwaną szansę. Hala, udając nagle przebudzenie, podnosi się ze skrzy-

wioną twarzą i zaczyna do nich mówić świetnym akcentem po niemiecku. Skupiają się koło niej. Ich grozę rozbraja z minuty na minutę swobodny i pewny siebie ton kobiety. Mówi, żeby sobie poszli szybko, bo jej chce się spać. Już ma tego dość. Strzelanina, hałas. Chciałaby się wreszcie wypaść. Ja, ja, gute Nacht, meine Herren. Biegają jeszcze, sprawdzają dowody, grożą jej rewolwerami.

Młody lotnik w niebieskawym hełmie szturcha mnie rewolwerem w bok. Otwieram „oficjalnie“ oczy i spoglądam na niego pytająco:

— Papiere, ja?

Stojąc na szeroko rozstawionych nogach ogląda bez słowa moją kennkartę. Nagle jego ostro ściągnięta twarz zaczyna łagodnieć. Spogląda ku mnie porozumiewawczo:

— Braut, ne?

Nie wiedząc, o czym mówi, potakuję mu. Ja. I kiwam głową. Niemiec oddaje mi wolno papiery. — No, ja — mówi i odchodzi, stając z boku. Gdy zapala od świecy papierosa, widzę białą szramę, biegnącą od czoła do brody. Z pomiędzy okładek kennkarty śmieje się do mnie Danka, wypoczywająca na plaży wiślanej.

Sierżant od czołgów bierze Halinę za rękę i spoglądając co chwila na kolegów, tłumaczy jej coś, na zmianę prosząco i złośliwie niemożliwym do zrozumienia narzeczem. Inni śmieją się. Halina wzrusza gwałtownie ramionami. Jej wytrzymałość kończy się.

Ale oni wkrótce wychodzą.

Ścisłam jej rękę.

— Wspaniale... — mówię. — Teraz musisz spać.

Ale teraz ona spać już nie może czy nie chce i zaczyna płakać, wsparta o moje ramię.

Siedząc z Haliną na betonowych schodkach od strony placu, gdzie pełne słońca kasztany chwieją się nad cygańskim grobem, patrzę do góry. Ona podnosi głowę razem ze mną.

— Samoloty? — pyta.

— Nie. Niebo.

To samo niebo.

Następnej nocy trzech chłopców: Tadzio, Staś i mały kolejarz próbują dostać się na Plac Małachowski. Nasze posterunki są podobno na Mazowieckiej. Blisko, jak blisko! Trwa to parę godzin. Myślimy już, że doszli. Ale wracają: nie można. Krzyżowy ogień cekaemów.

— Małe ciut i bym zarobił w czapę — mówi Tadzio brudny i zmęczony. — Nie da rady, psiakrew.

Jedząc potem zupę w salonie „Rio-Rity“ mam posmak głuchej wieczności.

Ale każda wieczność na tym świecie ma swój kres.

5-go sierpnia zieloni esesmani obstawiają podwórze i ludzie o białych twarzach, wezwani suchym rozkazem, wychodzą na plac pod kasztanami w piwnic i mieszkań. Cóż, trzeba iść. W ostatniej chwili widzę Tadzio sunącego desperacko ku sąsiednim zabudowaniom „Złotej Kaczki“.

W tłumie panuje milczenie. Godzina jest poranna, a słońce dla Warszawy łaskawe. Stoję. Obok Staś i Halina. Rozglądam się ciekawie naokoło i widzę wszystko jasno, boleśnie jasno.

Wyprowadzają nas na Krakowskie. Pierwszym spojrzeniem chwytam białą plamę nieżywego psa. Zerwane, skręcone druty tramwajowe leżą na jezdni. Pod ścianami, w załamaniach muru, w bramach kryją się niemieckie oddziały szturmowe. Wielkie czołgi typu „Pantera“ stoją zwrócone lufami w stronę Nowego Świata. Wrażenie bardzo wczesnej pory w niedzielę. Powietrze. Jasno. Świadomość najbliższych chwil też jasna: prosto śmierć.

Ktoś tam zaczyna rozpaczliwie szlochać. Ale to wyjątek.

— Cicho! — głośną go wściekle głosy. — Cicho, psiakrew.

Matki z dziećmi na rękach, mężczyźni starzy i młodzi idą spokojni i opanowani. Opróżnione domy Niemcy podpalają. Nasycone benzyną pakuły buchają słonecznymi płomieniami o czarnych grzebieńkach. Mieszkańcy oglądają się. Jakiś stary człowiek robi ręką pożegnalny ruch. Ale droga prowadzi naprzód, Vorwärts!

Z innych domów wypędzają nowe gro-

ny. Syk. Czołgi milczą. Od Nowego Świata pojedyncze strzały. Tam są nasi. I nagle jedna z kobiet pada wpoprzek szyn, chwytając się za nogę. Na wyszlizganym srebrze szyny rozlewa się krew. Słońce gra kolorowymi refleksami. Kołc Koperlika dołączają się do tłumu księży ze Świętego Krzyża. Ich sylwetki są doskonalym uzupełnieniem kolorystycznym wachlarza barw.

Z cokoła pomnika szczupły oficer SS, oparty na zrabowanej w jakimś muzeum szpadzie, patrzy z pogardliwym wyduchem warg. Ktoś z tłumu zwraca się do niego po niemiecku. Słowa giną w nagle potęgającej się kanonadzie. Esesowiec podnosi do góry szpadę z aktorską emfazą. Krzyczy:

— Wir kämpfen alle für Europa gegen Bolschewismus!

Nad samymi uszami czołgi walą nagle z armat w głąb Nowego Świata. Tysiąc dzwonoń huśta się w głowie. Tam — podnosi się dym i kurz. Grzmiały echa w słonecznej pustce. Teraz od strony Teatru Polskiego padają strzały. Niemcy wybiegają z rozbitej restauracji „Pod karsiem“ i wyglądając ostrożnie zza rogu, posyłają w kierunku wysoko położonych okienek krótkie serie. Widzę tynk, obsypujący się białymi chmurkami.

Ten ze szpadą zeskakuje nadół. Ogarnia go szal.

— Vorwärts! — krzyczy. Wydając rozkazy, macha komediancko szpadą. W niższej bramy Komendy Policji szereg wyższych oficerów przygląda się tej akcji.

Tłocząc się i potykając, popędzani korbami i wrzaskiem ukrytych za plecami Niemców, zaczynamy nagle iść czy bieć pod arkadami pałacu Staszi. Vorwärts!

Wymieniamy spojrzenia z dwoma mężczyznanami (Haliny nie ma już oddawna), z którymi zaprzyjaźniłem się przed paroma minutami.

Wrażenia?

Zapamiętałem tylko przeraźliwą jasność wzroku i zniecierpliwioną, ostatnią ciekawość. Gdy tłum wyniósł mnie jak fala zza ostatniej arkady pałacowych podcieni, spojrzałem w daleką niebieskawą perspektywę i szepnąłem swoim najbliższym i sobie, robiąc mały znak krzyża:

— NOWY ŚWIAT.

Zbita kolumna zatrzymała się. Było gęsto i gorąco w słońcu i dusznych oddechach. Za rozbitymi szybami wystawy leniwy powiew szeleścił w kartkach książek.

Przedemną — Świętokrzyska.

Smuga barykady.

A dalej Prudencja.

Na najwyższym piętrze wieje w chmurach polska chorągiew.

Jeden z moich towarzyszy ścisł mnie za rękę. Z pozycji wśród gruzów Nowego Świata wyczołguje się żołnierz. Przeskakuje pochyłony Świętokrzyską. Ale barykada milczy. Ani cienia ruchu. Pod murem przysuwa się oficer ze szpadą i trzech innych. Każdy z nich prowadzi przed sobą polskiego cywila. Poznają nagle tarczę esesowca: jest to mały kolejarz z Czerniakowa.

Błysk szpady odcina z tłumu pierwszą partię. Kobiety i mężczyźni. 40 — 50 osób. Wchodzą w Świętokrzyską. Oglądają się z wahaniem. Czeka. Szpada gra w słońcu. W Świętokrzyską wjeżdżają jeden za drugim trzy czołgi, dalej samochody pancerne z piechotą szturmową.

Ludzie zaczynają iść.

Patrzę na nich oniemiałymi oczami tamtych zza barykady.

Niosą ich spojrzenia tysiąca pozostałych.

Jakaś zabłąkana kula uderza nieco wyżej w latarnię, o którą się opieram.

Na Drapaczu Chmu — sztandar.

Tak blisko do Polski, o Boże.

Milczy uparcie barykada.

Ludzie idą.

Czas idzie.

Już blisko.

Metry.

I nagle lufy dział dygoczą w eksplozjach. Z okien domu przy barykadzie gnają białe smugi strzałów.

— Vorwärts!! — wrzeszczy zbój z za bladej twarzy kolejarza. Szpada gra. Nowi wsuwają się w dymy Świętokrzyskiej. Za chwilę jeden z samochodów wycofuje się tyłem. Wyciągają z niego rannych, jeden, dwóch, czterech, twarze wiszą w grymasach. Dysząc cofa się drugi samochód. Oparty o niego idzie nieprzytomnie.

grenadier pancerny. Chwytają go pod ramiona. Krew.

Wściekły oficer krzycząc wychyla się z lornetką w kierunku atakowanej ulicy. Za chwilę chwytają się za brzuch, milknie, jest już zielonym bólem, rozedrganym na jezdnii.

— Odpadł w przedbiegu... — szeptał ktoś przez zęby.

Atak załamuje się. W chichocie gąsienic cofają się „pantery“. Strzały milkną. Opada powolny dym. W głębi — postrzępiony zarys barykady. I cisza. Z tamtych — niema nikogo.

Tłum zawracają. Znow Krakowskie. Domy płoną jak stosy. Drży czerwony upał. Teraz — szybko. Plac Saski. W oknach naokoło — niemcy. Na placu — czołgi, samochody, działa. Przechodzimy koło ks. Józefa. Grób Nieznanego Żołnierza. Ogród. Oddzielają młodych od starych. Grupę młodych prowadzą w głąb ogrodu. Tam, u wylotu Marszałkowskiej, pod osłoną z polskich piersi wojownicy germańscy zbierają swych rannych i

zmieniają pozycje. Powrót. Oczekiwanie. Nagle w oknie ukazuje się postać jakiegoś generała. Wskazuje ręką kierunek. Znow podrywamy się na nogi. I znow tłum idzie naprzód, pod nogami miękka trawa, z tyłu — lufy, spokojnie! — słychać nasilone szepty — powoli! Idziemy, a tam Żelazna Brama, na asfalcie przy rozbitym samochodzie leżą niemieckie trupy, spokojnie, powoli, brama pęka pod tysiącem bijących serc, pusty plac, styłu pusto, Boże, tłum kołysze się długo wstrzymywanym szlochem, zaczyna biec, pustym placem biegnie płaczący tłum.

I gdy z jednej z bram wychyla się dziwnie ubrany chłopiec w hełmie strażackim, biało-czerwona opaska na ramieniu i wielkim karabinem w ręku, który ze zdumionym przestrachem patrzy na łkającą lawinę ludzi, ci porywają go do góry i płacząc biegną dalej.

Rzucając się na szyję chudemu robotnikowi w kombinezonie, pełniącemu służbę przy barykadzie, całują na jego policzku polską Starówkę.

Andrzej Augustowski

Stanisław Ziembicki

JEDNOŚĆ TWÓRCZOŚCI I WALKI

Wrzesień, który wybuchnął na zachodniej granicy Polski w roku trzydziestym dziewiątym, nie tylko zgładził naszą niezdaną państwowość i przemienił w węgle i gruz ciepłe miasta i wioski. Nurt gwałtownych przemian wtargnął do najgłębszych korzeni życia społecznego. Nastąpiło przetasowanie i wygięcie się wszystkich płaszczyzn rzeczywistości... Horyzont świata przekrzywił się, a człowiek utracił pod sobą wysiedziane dno, szukał zataczając się nowej równowagi, zmieniać musiał to, co wydawało się dotąd nienaruszalne i intymne — podstawę.

Kiedy myślę o poległych poetach warszawskich młodego pokolenia*) i widzę ich rysujące się za mną w ciemnościach sylwetki, mówić pragnę przede wszystkim o postawie człowieka i twórcy w latach wojny.

Dziś, mimo desperackiego trzepotania się garści oponentów i epigonów, nie ulega już chyba wątpliwości, że data 1939 położona na grobku „Skamandra“ jest słuszna i ostateczna. Kwestią czasu pozostaje tylko sprawa spisania aktu zgonu. Na przestrzeni historycznej paru zaledwie lat wojennych, ta twórczość, która niedawno pasjonowała, dostarczając jej wyznawcom laurów olimpijskich, stała się denerwująco nieczytelną. Poezja skamandrycka była poezją wygodną i prywatną, poezją rzeczy małych i szarych, drobnych bólów i cieplarnianych szczęść, statyczną i płaską, dlatego zmarła na udar serca, gdy w oczach poetów „dnia dzisiejszego“ stanął dzień wielkiej klęski. Postawa przeciętnego poety „Skamandra“ była postawą człowieka siedzącego w wygodnym fotelu i opierającego stopy ukryte w miękkich bamboszach o ciepły piecyk. Kiedy zabrakło fotelu, bamboszy i piecyka i trzeba było biegać boso po żużlach spalonego domu, więcej — ratować spod walących się pułapów nie rzeczy, a żywych ludzi — „Skamander“ rozplakał się i przykucnął — zabiła go pierwsza, spadająca belka. Co po nim pozostało — mizerne oblicze poezji „emigracyjnej“, zżarte przez nostalgię, suchotnicze i płaczliwe, zagląające dzisiaj bojaźliwie do kraju. O, nie potępiam „Skamandra“, nie chcę wcale ocalałym jego poetom wyskubywać laurowych listeczków, jakich dosłużyli się w okresie międzywojennym, nie zapominam o znaczeniu, jakie mieć będzie niewątpliwie w dziejach naszej literatury „skamandrytizm“ — zatrząskują tylko za nim drzwi pokoju — pokoju z lat 1918 — 1939.

Klęska wrześniowa narzuciła nam konieczność szybkiego, brutalnego wprost korygowania postawy twórczej. Wir przemian wciągał do siebie, lub — rozbijał opornych o brzeg. Postawa fotelowa wykluczona została na zawsze. Skamandryta? — zaczadził w fotelu od zapachu krwi, jaki przyszedł po zapachu kawy i dziewczęcych loków.

Katastrofiści? Ci może stali najbliżej wrzącej rzeczywistości powrzesniowej. Wyczuli lepką woń krwi, kiedy jeszcze żyły i ścięgnięte były i ukryte w ciele. Ale na środku rzeczywistości okupacyjnej nie mógł stać człowiek płaczący na zapas, załamujący ręce, skostniały od grozy — passywny. Trzeba było działać, walczyć choćby o egzystencję — tego domagał się prosty instynkt samoobrony — instynkt życia. Postawą człowieka wojny, pełną i historyczną, mogła być tylko jedna postawa — z bronią u oka — postawa walki właśnie. Może nikt tego nie zrozu-

miął tak bardzo, jak młode pokolenie pisarzy, którzy to zrozumienie wypełnili do końca, wypełnili żołnierską śmiercią.

Wojna zostawiła w twórczości temat i postawę. Tych rzeczy nie zamknie rok 1945. W latach pokoju pisać się będzie o sprawach wojny więcej i lepiej, ale przede wszystkim — łatwiej. Dlatego osobną wagę mieć będą te utwory i wypowiedzi, jakie stały się w wojnie — wykazywać będą faktyczną, niezafałszowaną postawę pisarza w ówczesnej, ciemnej i kamienistej rzeczywistości. Dlatego mamy dziś prawo domagać się od wszystkich, by każdy publikowany utwór pieczętował datą jego powstania.

Czy dekorują twórczość bohaterską i heroiczną? Tak — była twórczością zdrową, życiodajną, konieczną. Czy dyskwalifikują utwory, w których złożono zimne

kwiaty cierpienia narodu i jednostki, krzyk bólu, grozę i żywioł zniszczenia. Jeśli nie przekształcały się w postawę — nie! Sprawdzanie twórczości do jednej linii tylko, byłoby upraszczaniem. Zresztą byłoby rzeczą nienaturalną i nieludzką, gdyby z ust maltretowanego człowieka, nie wydarł się krzyk bólu, chociaż zęby i pięści były najbardziej zacisnięte. Wyodrębniam tylko jako dominantę wojny linię jedności tworzenia i walki, chcę ustawić na niej tych pisarzy, którzy w rzeczywistości pełnej dramatycznych spięć potrafili głośno wołać o konieczność walki, rozumieli wagę ofiary, krwawiącymi supłami powiązali sztukę z dywersją, partyzantką, z oporem. Jak trudne to było — rozumiem. Rozumiem również, że nie jeden utwór powstał w wojnie tylko jako krzyk bólu, jako protest i zała-

manie się, będzie miał doskonalszy wyraz artystyczny, od innych, w których bito w werble i repetowano broń — ale to jest sprawa zróżnicowania talentów, a nie podstaw.

Jakże dostojnie i wysoko urastają w moich oczach sylwetki tamtych chłopców. W kwietniu roku 1942 pisał Wacław Bojarski:

„Nadchodzi epoka bezwzględnej niekończącej się walki, epoka akcentowana mocnym, radosnym rytmem kroków żołnierskich i upartą wolą działania“.

„Chcemy atmosfery bezwzględnej walki i cieszy nas radosny i słuszny rytm kroków żołnierskich“.

„Rzeczą przyszłej wielkiej sztuki jest zerwanie zasadnicze z passywizmem procesów twórczych — aktem ucieczki od życia i raczej świadome tego życia organizowanie w ścisłym związku z całością kulturalną, niepowtarzalną, jedyną, narodową“.

A wreszcie w lutym 1943 w odpowiedzi na anonimowo wydany przez Tadeusza Borowskiego tomik p. t. „Gdziekolwiek ziemia“ w artykule „Co po nas zostanie“ — pisał:

„Autor tomu „Gdziekolwiek ziemia“... tak kończy jeden ze swoich wierszy:

„zostanie po nas złom żelazny i głuchy drwiący śmiech pokoleń“.

Otóż nie! Choćby miał po nas przemaszerować chamski but kata, choćby wgniół w ziemię nasze ciała, zniszczył, zgnoił, rozmazał, choćby zmienił naszą, jakże nędzną broń w kupę złomu — to przecież dla przyszłych pokoleń będzie ten nasz krzyk niezaspokojony, niezadławiony, żarliwy — pragnieniem mocnego dobra. I choćby zawieść miało wszystko, to jedno po nas zostanie napewno“.

Na parę niemal dni przed śmiercią skomponował Bojarski marsz żałobny, gdzie refrenem były słowa:

„O, nie płaczcie, niech w niebo buchnie pieśń,

O, nie płaczcie, ściśnijcie mocniej pięści“.

To była postawa i testament. Poległ poeta śmiercią żołnierza przekłuty kulą niemiecką w chwili składania kwiatów pod pomnikiem Kopernika.

Świadomi konieczności zjednoczenia twórczości i walki, niemal wszyscy pisarze „z pokolenia dramatycznego“, komponowali piosenki żołnierskie i partyzantkie.

Przypominam sobie, jak tłumaczył mi z pasją Tadeusz Gajcy - Topornicki, że moralnym obowiązkiem poety jest pisanie piosenek.

„Więc pocóż istniejemy — mówił — my, jeśli komponowanie tych tekstów zostawia się ludziom przypadkowym, bez kultury i techniki pisarskiej! Pisarz uchylający się dziś od tego, jest dezenterem“.

Namawiany przez przyjaciół w przeddzień Powstania, by opuścił Warszawę, a ostatecznie nie szedł chociaż do linii, odpowiedział krótko: „Nie miałbym prawa pisać o Powstaniu, gdybym nie był z bronią w ręku na pierwszej barykadzie“. A już na gruzach Starówki, jakby wypatrząc przeznaczonego dla siebie pocisku, jakby widząc już idącą po niego wieczność, rzekł mrużąc oczy: „Chciałbym tylko, chciałbym mieć p i ę k n ą śmierć“. To była już ostateczna synteza — pod surową twarzą powstańca — słoneczne oblicze poety.

Tacy byli wszyscy.

Co po nich pozostało? Imię? Spuścizna literacka? Nie. To co najważniejsze, najdoskonalsze, to linia, ton. Jedność twórczości i walki. Styl epoki.

Stanisław Ziembicki

Wacław Bojarski

H Y M N

Ty, coś mi w płucach kwiat tytoniu zasiał,
Ze rośnie i świeci moim trudnym snom.

Czy wiesz?

Ziemia spalona ma gorzki zapach.

Rzeki wiosenne wciąż płyną

Obłoków surowych

Kra.

Oczy moje

Zatopione w cieniach liliowych,

Jak na mapie

Śledzą drogę Twoją w supłach żył.

Czy wiesz?

Usta muszę zaciskać surowe,

Kiedy krzywdą małych i prostych

W oktawach płaczu nad miastem drży.

Gdy przechodzę po twardych brukach,

Jak przez życie

Naukos.

I odciskam twarde ślady stóp;

Tam, gdzie tylko troska i kamień—

Troskę stopom odejmij,

Bruki w chleby słów

Zamień.

Może wołam napróżno i — poco?

Może tylko mową Twoją przywołony,

Jak w topieli

Słów wychlusty rękami rozgarniam

Coraz trudniej i bardziej obco?

Czy wiesz?

Żeby ból mój w krzyk jeszcze nie stwardniał,

Tak poprostu ku śmierci otwarty

Wiatr młodości

Łapczywymi połykam ustami.

Ja to wiem,

Ja jeden, bo któżby?

Jak to jest, gdy się twarzą od snów kolczastych zmięta,

Wyrwaną nagle z dłoni złożonych muszli,

Cudzych twarzy zmęczenie potwierdza,

Własnym pięściom niezmeńczonym zaprzecza.

W pięściach jest tęsknota niespełnionych spraw,

W twarzy smutek źle spełnionych rzeczy.

I tak idąc coraz głębiej w miasto

I tak w siebie idę coraz głębiej,

Mijam troskę, złe sny, bruki, nędzę własną,

Krzywdę ludzi, rzeczy, gołębi.

Patrzę w twarz gniewowi Twojemu,

Który spokój nam jesienny rozciął.

I tak idę

Własną małością zrozpaczony,

A po bokach żarliwą kołyszę nadzieję,

Rzeźbioną w twardych kształtach zacisniętych palców.

Zanim przyjdiesz nad ranem,

Wybijałe od blasku kwiaty tytoniu zbierać,

Żeby już tak boleśnie nie kwitły, bo pocóż?

Ty, co umiesz

Ku śmierci łatwiej otwierać,

Ku wielkości trudnej mnie otwórz.

*) Patrz „Pokolenie dramatyczne“ w numerze 5 (11) „Dziś i Jutro“.

OSTRZE NA OSTRZE

WYCIĄGNIĘTA LEWICA

W 21 numerze „Kuznicy“ ukazały się obok siebie artykuły Żółkiewskiego „O ks. Konstantym Michalskim“ (pisze tam Żółkiewski o ręce, wyciągniętej do współpracy z katolikami) i Kotta: „Obrachunki Noworoczne“. Przeczytałem je w skupieniu i wpadłem w głęboką rozterkę. Ten duet jest chyba źle dobrany. Dwie całkiem różne melodie, dwie różne tonacje w jednym numerze — to naprawdę brzmi nieładnie. Oto kilka przykładów:

Żółkiewski: „...artykuł księdza Michalskiego... był dla nas rewelacją. To było pierwsze po latach milczenia spotkanie z wielką tradycją polskiej kultury umysłowej. Od lat nie widzieliśmy tak sprofilowanej i tak doskonałej prozy aktualnej“.

Kott: „Neo-tomizm okazał się intelektualną maskaradą, niezdolną do rozwiązania prawdziwych potrzeb poznawczych“.

To fatalna wiadomość. Bo przecie ks. Michalski jest neo-tomistą (jeśli już używamy tego niecisłego określenia. Patrz jego wstęp do książki Maritain'a: „Trzej reformatorzy“). Jest neo-tomistą — a tak go chwala. Chociaż neo-tomizm jest maskaradą. Bądź tu mądry, człowieku!

Żółkiewski: „Daleki jestem od lekceważenia zagadnień teoretycznych. Lecz właśnie teoretycznie rzecz biorąc nie trzeba uzgodnić swoich koncepcji ontologicznych, aby zdecydować się odbudować dach domu, w którym się mieszka“.

Kott: „Wprowadzenie nowej problematyki kulturalnej, odnowienie stylu i metod myślenia jest dla nas sprawą równie godną namiętnej walki... jak przemiana ustroju. Powiem więcej, jest dla nas sprawą tą samą“.

Żółkiewski: „Jednolity front na obecnym etapie naszej historii oznacza wypracowanie takich form życia politycznego, by umożliwiły one konsekwentne odnowienie ustroju bez zbędnych wstrząsów... Przed taką współpracą katolików z marksistami nie cofniemy się. I potrafimy zawsze lojalnie oprzeć ją na uznaniu

praw drugiego i szacunku dla jego stanowiska“.

Kott: „Nam nie wystarczy, aby naukowiec był zwolennikiem reformy rolnej, chcemy aby przestał być fideistą... Dlatego jesteśmy bezwzględni!“

Jakże trudno jest w Polsce o jednolity front, nawet w ramach jednego pisma.

A teraz jeszcze parę słów o Kocie. Wspominając o estetyce Maritain'a, mówi tak: „Okazało się nagle, że nie Claudel, ale Jacob i Cocteau stworzyli poezję katolicyzmu“. Otóż pamiętam, że cytując Cocteau w ostatnim wydaniu „Art et Scholastique“ — Maritain robi na marginesie uwagę, że nawet podróżując w całkiem odmiennych pojazdach, można się kiedyś spotkać na drodze Prawdy. Kott jest niepoprawny. Tyle razy wytykano mu grube nieścisłości w przekazywaniu danych „rzeczywistości empirycznie poznawalnej“, czy to na niwie prawa, czy literatury. A on dalej swoje. Taka już jego metoda. Obawiam się jednak, że tym pojazdem nie dojedzie do drogi Prawdy...

I jeszcze jedno. Kott: „Pamiętam, że kiedy w roku 1939 odwiedziłem Maritain'a w małym miasteczku pod Paryżem, zdziwiły mnie niezmiernie obrazy w jego mieszkaniu. Były to akwarele Maxa Chagalla. Żydzi z rozwianymi brodami unosili się w powietrzu ponad bardzo zieloną ziemią, na której pasła się granatowa krowa. Zaniepokoiłem się: po raz pierwszy tomizm wydawał mi się intelektualnie podejrzany“. A w tymże numerze „Kuznicy“ mówi się jak najlepiej o Picasso... Pamiętam taki obraz Picassa: pani z jednym okiem i z nogami jak korkociąg. Naprawdę. Po raz pierwszy marksizm wydaje mi się intelektualnie podejrzany.

A jednak znalazłem w artykule Kotta jedno zdanie całkiem prawdziwe. „Prymat taktyki nad ideologią demoralizuje ruchy polityczne“. Wydało mi się, że tak jest rzeczywiście.

J. W. W.

Juliusz Kędziora

UWAGI O „DZIKOWYM SKARBIE“

Na wstępie zaznaczyć pragnę, że krytyka moja nie jest krytyką w ścisłym znaczeniu tego słowa. Poprostu nie mogę się powstrzymać, aby nie odezwać się na temat, nad którym też pracowałem w czasie wojny, a który po dziesięciu wiekach jest tak aktualny, jak w ciągu ich trwania.

Niemcy żyją i ukarane nie zostały. W niedługim czasie, może nie my, ale dzieci nasze znieść będą musiały nową nawałę dzicz germańskiej.

Temat więc interesuje mnie nie tylko jako artystę, ale jako Polaka.

Są w tamtym okresie potężne momenty, stojące już ponad narodami. Mam na myśli zmianę religii z pogańskiej na chrześcijańską, walkę nowego porządku ze starym. Dzisiejsza analogia tego wielkiego motywu jest podniesiona i odwrócona niejako. Podniesiona do walki chrześcijaństwa z neo-pogaństwem, a odwrócona, gdyż to chrześcijańscy Polacy znajdują się w walce o najwyższe ideały ducha ludzkiego.

Zadziwiająca jest rzeczka, że w naszej literaturze pięknej, poza nielicznymi wyjątkami, okres wczesno - historyczny Polski nie był wcale ruszany.

Potrzeba było nowego, jednego z wielu zrywów bestjalstwa niemieckiego, aby odnowić znaczenie historycznej analogii z przed wieków. Analogie te są tak silne, że brak im tylko czołgów, samolotów i bomb.

Poza tym, istota jest ta sama.

Drugi jest jeszcze powód, dla którego ten temat staje się aktualny. Mianowicie zbliża się rok 1966. A więc za siedemnaście lat będziemy obchodzić tysiąclecie historycznej Polski.

Jest rzeczą znaną, że pierwsza wzmianka o Polsce ukazuje ją już w walkach z Niemczyzną, która rzuca się i kąsa i szarpie swoich sąsiadów, a w stosunku do Słowian już od Henryka Ptasznika ma zbudowane swoje wytyczne, powtórzone później przez wielkiego Fryca, przez Bismarcka i „oswobodziciela Europy“ — Hitlera.

Okres wczesno - historyczny Polski jest niesłychanie skąpy w źródła. Źródła polskich niema, źródła obce są albo stronnicze (Tietmar, Helmold, Widukind), albo niesłychanie zagnatwane (Sagi skandy-nawskie, albo też ledwie dotyczą spraw

naszego kraju w ramach całej Słowiańszczyzny (Ibrahim Ibn Jakób).

Z jednej więc strony, ubóstwo źródeł może straszyc autora, z drugiej, może go pociągać, otwierając szerokie możliwości dla fantazji. Myślę o fantazji odnośnie do rekwizytów, jak stroje i zbroje, do zwyczajów, pejzażu i t. d. Bo jeśli chodzi o dane psychologiczne Niemców, mamy tego zbyt wiele. Trzeba znów ostrożnie się z tym obchodzić, aby w pracy artystycznej nie wybuchnął sadyzm, najniższym zdziwieniem moralnym, zakłamaniem i t. d., a pomimo tego uwzględnić to wszystko.

Zaarte walki, błyskotliwe zwycięstwa i straszliwe klęski wstrząsają ludami tamtych czasów, w których z mgławicy plemion i szczepów wyłaniają się narody. Silniejsze pociągają słabsze, aby po krótkim okresie świetności rozpaść się, a moc i potęgę tych mgławicowych twórców określają ich władcy. Ich to zdolności polityczne i strategiczne zwyciężają i wiążą, ich słabości rozbijają i niszcza.

Jest to też okres genialnych polityków i wodzów: duński Harald, Otto III, Włodzimierz i Jarosław, Stefan Węgierski.

W takim więc czasie, w czasie wielkich krzepnięć organizmów państwowych, w Polsce wyrósł szereg geniuszów polityczno-militarnych. Byli nimi Piastowice — legendarni, byli Mieszko I i Chrobry — historyczni.

Mieszko I-szy, którego oblicze zatarło się we mgle oddalenia, wyprowadził, naród na widownię dziejów, opierając się niewątpliwie na pracy poprzedników i stworzył podwaliny dla dzieła syna swego, Bolka. Bolesław Chrobry nie mógłby mieć takich osiągnięć, jakie miał, gdyby mu ich nie przygotował ojciec jego.

Literaci pracowali* podczas wojny. Kiedy więc doczekamy takich czasów, że będziemy mogli wydawać, może nie jedna rzecz pokaże się z tego okresu.

A im więcej, tym lepiej. Narazie wiadomo o dwóch pracach. Czytałem fragmenty Golubiewa z powieści p. t. „Bolesław Chrobry“ no i wydał swój „Dzikowy skarb“ Karol Bunsch, który umieścił akcję swojej powieści w czasie panowania Mieszka I-go.

Konstrukcja rozłożyła powieść swoją na dwa zagadnienia: zagadnienie państwowe - twórcze Mieszki i zagadnienie przekroju społecznego, zamkniętego w postaci Dzika, przy czym już samym tytułem określił autor, iż jako główny temat uważa dzieje tego bohatera.

Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem postać Dzika, w ten sposób ją określając. Bo gdyby Dzik był typem ówczesnego Polaka, jakimś wyciągiem charakterów naogół spotykanych, wtedy źle by to bardzo świadczyło o współczesnym społeczeństwie polskim. Jeśliby zaś był typem wyjątkowym, w którym sobie autor upodobał, wtedyby znów sympatia, jaką go obdarzają Mieszko i inteligentny Zbrozła, jak również miłość kulturalnej Sofii, świadczyłyby o pewnym wynaturzeniu tych ostatnich.

Raczej więc wydaje mi się, że Dzik jest typem przeciętnego człowieka współczesności, tym bardziej, że i Zbrozła zdradza pewne oznaki dzikości, jeśli idzie o jego stosunek do prawa (ułatwienie ucieczki Dzika przed poniesieniem zasłużonej kary) i Mieszko w porывach swojego gniewu.

Jak powiedziałem, niepięknie wygląda społeczeństwo polskie tak ukazane, ale wolno autorowi, jeśli je sobie takim wyobrazi.

Teraz jednak musi nastąpić pytanie: Czy Mieszko, opierając się na społeczeństwie takich ludzi, mógł uczynić coś trwałego? Mam wrażenie, że nie. A jednak (w tym miejscu historia upomina się o swoje prawa) uczynił. Z tego by wynikało, że autor nieco obniżył wartość współczesnego społeczeństwa.

Następne pytanie: Z jakich przyczyn autor to uczynił?

Rozglądając się w całości, nie znajduję ani przyczyn artystycznych, ani ideologicznych. Być może, że jest to moje przeoczenie, bo jak zaznaczyłem na początku, nie jestem krytykiem, ale artystą, a ktoś z artystów nie popełnia błędów.

Wśród postaci, trzy rozwijają się na pierwszym planie: Dzik, Mieszko i Zbrozła.

Mieszko przez swój ciężar gatunkowy nie pozostaje w tyle za bohaterem tytułowym, lecz nie jest wyraźnie narysowany.

Nie wiem, czy mi nie myli mój sentyment do postaci Mieszki, ale mam uczucie, jakby autor skurczył wielki temat do małych rozmiarów, a wielką postać obciął o całe uczucie, szczególnie jeśli chodzi o stosunek tego władcy do nowej wiary. Mianowicie autor mocno podkreślił, że Mieszko zmienia ją tylko i wyłącznie z przyczyn politycznych.

Nie ulega wątpliwości, że względy polityczne odegrały w tym jego dziele rolę poważną. Można nawet powiedzieć — potężną.

Ale czy jedyną, jeśli idzie o wartości artystyczne?

Czy podkreślając swój niechętny stosunek do nowej wiary, Mieszko nie wywołuje ciasności poglądów, a przez odwołanie chrztu (na skutek obietnicy danej jednemu ze swoich wojów, że tego nie uczyni przed jego śmiercią), nie załamuje swojej linii charakteru, jako mocny władca? Czy go to nie czyni człowiekiem pospolitym, który całość i wielkość zagadnień państwa podporządkowuje prywatnej sympatii dla jednego człowieka?

A przecież skądinąd autor rysuje go jako władcę mocnego, który twardą ręką i bez sentymentu przeprowadza swoje zamiary.

Możnaby przyjąć, że autor zrobił to rozmyślnie, aby przez wykazanie niekonsekwencji uczynić postać bardziej ludzką, a przez to bardziej plastyczną. Możnaby przyjąć tym bardziej, że Mieszko i w drugim miejscu jest niekonsekwentny, a mianowicie w swoim stosunku do Dzika, kiedy przez palce patrzy, jak ten zbój, skazany przez prawo, którego Mieszko jest najwyższą instancją, chodzi sobie po świecie bezkarnie, pomimo wyroku śmierci, jaki na nim ciąży. Jest jeszcze trzeci przyczynek w tym względzie do charakterystyki Mieszki. Tym razem jako wodza. Myślę o bitwie na grobli pomiędzy dwoma bagnami, w którą się Mieszko wdał tak lekkomyślnie, a w której od klęski wyratował go oddział Dźwigora, przypadkowo nadeszły.

Z jednej strony przebieg tej bitwy daje bardzo dobry obraz walki współczesnej, kiedy wielokrotnie przypadek przesądza o zwycięstwie. Wydało mi się jednak, że gdyby kto inny dowodził w tej bitwie, wszystko byłoby w porządku. Nie jestem jednak pewien, czy Mieszko twardy i surowy nie załamuje się tutaj jako wódz.

Jeśli więc weźmiemy te trzy przyczynki do charakterystyki Mieszki, jako polityka, sedziwego i wodza, dojdziemy może do przekonania, że nie jest rzeczą bezpieczną atakowanie istotnych wartości bohatera, bo wtedy te wartości przestają być wartościami, a rysunek robi wrażenie niepewnego. Bodaj czy nie lepiej dla uzyskania plastyki postaci takie, jak Mieszko, zostawić zdecydowany i mocny charakter tak, jak go zamierzył autor, a wydobyc na wierzch drobne jakieś, czysto ludzkie wady, lub małostki.

Bo, wracając do zmiany wiary, czy Mieszko, niechętny dla szerszych spraw ducha, a kupujący za nie spokój, nie staje ostatecznie jako człowiek o wątpliwych wartościach moralnych? Że zaś każdy geniusz jest człowiekiem, przeto człowiek musi dorównać geniuszowi, aby go nie ściągnąć na ziemię.

Mam wrażenie, że z punktu widzenia artystycznego, Mieszko byłby o wiele silniejszy i potężniejszy, gdyby jego przekonania wewnętrzne pokryły się z państwową racją stanu.

Bohaterem tytułowym, jak już wspomniałem, jest Dzik.

Nieszcześnie to postać, którą ściga ja-

kieś fatum. Wyprowadzony ze zbojeckiej drogi przez Ścibora, uzyskuje stanowisko w społeczeństwie, a przez swoją niepospolitą siłę wyróżnia się z posród innych.

Cóż z tego, skoro dzikość i pierwotność charakteru nie rozróżnia pomiędzy Polakami, czy Niemcami, kupcami na drodze, czy Ratarami. Morduje z potrzeby wewnętrznej.

Toteż niszczące i przepada wszystko cokolwiek uczynił, cokolwiek zgromadził, co mu było drogie. Ginie mu ukochany synek, w zamroczeniu rozpacz po stracie dziecka truje się Sofia, ginie przyjaciel, nawet wierny pies się nie ostaje. Sam bohater kończy okropną śmiercią, a wilki wyją nad jego trupem. Wreszcie skarb jego na rozbojach dobytej przepada w bagnie.

Z bohatera nie zostaje nic, oprócz kości.

Postać pierwotnego człowieka narysowana przez autora doskonale i konsekwentnie. I pomimo jego dzikości, żal ogarnia czytelnika, że ginie to wszystko, co Dzik zbliżało do człowieka normalnego, że giną jego uczucia pozytywne dla kobiety, dla dziecka i przyjaciela. Tu już autor stanowczo obszedł się bez litości ze swoim bohaterem.

Wielokrotnie w życiu, czy w Sztuce dzieje się, że choć bohater ginie, pozostają jego idee. Małe, czy wielkie, ale pozostają i one są wykładnikiem nieśmiertelności duszy człowieka i obrazem ciągłości jego życia wewnętrznego.

Po Dziku nie zostaje nic, absolutnie nic.

W tym miejscu nasuwa mi się pytanie: czy artyści, niosąc w społeczeństwie wysoką odpowiedzialność za swoje prace, mogą sobie pozwolić na dowolne traktowanie swoich utworów?

Wydało mi się, że Sztuka jest istotą żywą. I jest w granicach możliwości ludzkich, aby nie odchodząc z jej krainy, ujawniać, co jest piękne, dobre i prawdziwe.

To wszystko, co artysta czerpie z epoki, od narodu, czy od Boga, powinien, przyniesione o prace swego ducha, oddać Bogu, narodowi i epoce. Wielkie to są zadania i nie każdy z nas do nich dorasta i nie we wszystkim.

Ale jednak naszą jest rzeczą starać się.

Mam wrażenie, że autor „Dzikowego skarbu“ zanadto dał się ponieść pracy nad plastyką postaci, zanadto go ta postać emocjonowała, a w tej emocji przeoczył obowiązki artysty, stwarzając postać oryginalną, ale taką, która nie pozytywnego ze sobą nie wnosi.

Trześcią z figur pierwszoplanowych jest Zbrozła.

Mściciel swoich i słowiańskich krzywd, przybysz z zachodniej Słowiańszczyzny, zalanej już przez Niemców, całe swoje życie poświęca dziełu zemsty. Czyny to z niebywałą konsekwencją i wielką inteligencją. W tym jest mocny.

Autor, poza zdolnościami polityka, męża stanu i szefa wywiadu, jak byśmy to dzisiaj nazwali, daje mu jeszcze moc sugestywnego oddziaływania na ludzi, oraz moc odgadywania przyszłości.

Te dwie ostatnie właściwości, w znacznym stopniu zwiększają atrakcyjność postaci.

Po przeczytaniu książki zastanawiałem się, jakim by był Zbrozła, gdyby go pozabawili tych dwóch ostatnich zdolności. Oczywiście straciłby na atrakcji. Ale czy nie pogłębiłby się w roli, jaką mu autor przeznaczył? Jest to oczywiście znowu kwestia artystycznego odczuwania. Różni różnie czują. Ogólnie biorąc, wydaje mi się, że rysowanie bohatera w świetle wielu różnorodnych uzdolnień prowadzić może do przerysowania.

Zbrozła jest niestrudzenie czynny. Jest wszędzie, gdzie go potrzeba. W obecnej chwili, którą jeszcze silnym wspomnieniem przeżywamy, postać ta może niejednemu przypaść do smaku, zaspokajając jego uczucie zemsty. Autor dobrze zrobił, nie wyporwadzając go z narodu polskiego, który mściwym nie jest. Wiemy natomiast, że nie wszystkie narody słowiańskie nie są mściwe. Więc przez analogię możemy przyjąć zupełnie dobrze, że któreś z plemion zachodnich odznaczało się mściwością, działającą na zimno, jak to właśnie czyni Zbrozła.

Z figur drugoplanowych piękna postacią jest Ścibor, brat Mieszki. W walkach prowadzonych przez niego pod Cedzyną, autor bardzo dobrze rysuje spokój, siłę, rozważę, błyskawiczną orientację tego prostego duchem, a niepospolitego człowieka.

Z historii wiemy, że w walkach tych Ścibor ginie, ratując Mieszka przed klęską ze strony margrafa Hodona. Musiał go więc uśmiercić i autor. Ale szkoda wielka, że czytelnik dowiaduje się o tym po fakcie i nie jest świadkiem śmierci ryceza-wodza.

Skończonym łotrem jest Szmátka. Nie jestem jednak pewien, czy wszyscy czytelnicy będą z niego zadowoleni, bo tak niema w nim nic dobrego, że może wywołać wrażenie monotonii.

Z postaci trzecioplanowych zbyt może zbliżone są do siebie Eudoksja — żona Ścibora i Sofia — żona Dzika. Obie Grezynki, obie w podobny sposób reagują na śmierć; jedna — swojej córki, druga — syna.

W pracy nad książką trudno jednak uniknąć takich rzeczy, zwłaszcza na dalszych planach, kiedy całą uwagę skupia się na pierwszorzędnych figurach — na idei utworu, na konstrukcji i wielu innych rzeczach, zależnych od tematu.

Jako całość czyta się powieść Bunscha z wielkim zainteresowaniem. Akcja toczy

*) Karol Bunsch. Dzikowy skarb. Powieść z czasów Mieszka I, w 2 tomach. Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1945. Str. 335 i 321+4 nb.

się żywo, sytuacje zmieniają się nagle i obfitują w wiele niespodzianek

Dobrze oddany jest charakter walk współczesnych, kiedy mowy nie było o żadnym froncie, a wojska szukały się po borach i bagnach. W tych czasach jedna większa bitwa wygrana oznaczała wygraną wojnę, a siłę wodza stanowiły wojska z różnych dzielnic, poza którymi wódz nie mógł ich używać do boju.

Wyjątkiem była oczywiście własna drużyna księcia.

Tę gmatwaninę, te podchody, przejścia, zasadzki, potyczki dobrze są namalowane przez Bunscha.

W żywej akcji trudno już było autorowi poświęcić wiele miejsca opisom. A są

O sztukę sumienia społecznego

Dramat antyczny oddany walce człowieka z losem nie odczuwał konieczności mieszania w nią sił społecznych, „polityka” istniała najwyżej jako tło.

Dramat mieszczański epoki liberalno-demokratycznej oparty na konfliktach indywidualnych zwolnionych od społecznych sił popędowych, ten dramat nie mógł mieć klimatu pokrewnego współczesności. Nie był tamten czas czasem dramatycznym. Nie była taką rzeczywistością społeczna. Nie znaczy to bynajmniej że klimat wojny, czy walki zbrojnej jest potrzebny dla dojrzenia możliwości dramatu. A „walkę” inną przeciw dogmat *laisser-faire* wyzwał, uświelał. Trzeba się było prać! Obowiązywało prawo silniejszego, swobodna gra sił, dobór naturalny.

Ale nie było tak bardzo o co się bić. Walczyć było można, trzeba było, ale walka „śmiertelna”, „ostateczna” — a więc „dramatyczna” — w imię własnych tylko interesów nie opłacała się, nie mogła się opłacać. Nigdy bowiem własna śmierć nie wytrzymuje handlowej kalkulacji, nigdy dla jednostki nie będzie dobrym interesem.

To też wielkiego, w dzisiejszych skalach, dramatu rzeczywistość demoliberalna nie dała, dać nie mogła.

Nie dała go i zabójcza rzeczywistość totalizmów. Warto o tym pamiętać dziś, gdy żyć chcemy inaczej niż nakazywały oba, skompromitowane i w sztuce wzory. Gdy chcemy wychować nowy ustrój, który powszechnie podejmie wychowanie nowego człowieka.

Dziś już mamy ustrój niewątpliwie otwierający przed człowiekiem duże horyzonty, przed siłami społecznymi wielkie, dramatyczne perspektywy. Tak. Ustrój, który zrywa z tradycyjnymi szablonami układu politycznego, który otwiera możliwości bezkompromisowej walki o słuszną sprawę przed proletariatem, a z drugiej strony do dzikich form opozycji spycha siły społecznie wsteczne, a spycha do niedawna i niektóre grupy młodzieży o rzetelnych zasługach kombatanckich w walce z hitleryzmem, na szczególne wobec legalizacji A. K. groźba marnowania sił w istocie przeciw demokracji życiowych, znika.

Pamiętamy, że o ile w tragedii greckiej człowiek zmagał się z losem to humanizm dał człowiekowi partnera dramatu w człowieku. Nowy uświadomiony humanizm musi uświadomić, że nie istnieje stan społecznej próżni, że walczące „dramatycznie” osoby nie są nigdy same, że za nimi kłębią się niewidoczne (na scenie) siły społeczne. Na nie widzą czeka, choćby sobie tego nie uświadamiał. Przechodzimy ten akt a wyjdą na scenę, będą. Przechodzimy drugi. Kurtyna.

Do dziś sztuka wyzwalającej zbiorowej prądy nie ma. Dramat czeka. XX wiek, ojciec tylu zapomnianych dziś „rewolucji” w sztuce — rewolucji pałacowych, rozegranych w zamkniętym dla mas gmachu sztuki — widział i próby rewolucjonizowania dramatu.

Futuryzm włoży w chęci bawienia znudzonego burżuazji, porzucił chciał nudnego już pojedynczego człowieka, chciał tworzyć dramaty „rzeczy”. Porzuceno człowieka dla tego właśnie, że dalsze grzebanie w nim o ile nie miało powtarzać, odgrzewać, nudzić, blagować, byłoby grzebaniem w beczce prochu — ładunek polityczności w każdym nawet facecie narbrzmiewał, swiała rewolucja społeczna w ostatniej chwili zażegnana przez faszyzm. Trzeba było, by sztuka ratowała pozory, burżua chciał zapomnieć, chętnie patrzyłby w dramacie na „rzeczy”, które, u licha nie mają chyba socjalnego ładunku. Marinetti obmyślał dramaty rzeczy („Jeńcy”) bo odbiorca sztuki, którym gardził, lecz dla którego pisał, na taki dramat czekał, na dramat, w którym by nie wybuchły dramaty socjalne, polityczne. Zwycięstwo faszyzmu nie było pewne. Futuryzm sprzymierzył się z nim. Wygrali. Burżua znów mógł być spokojnie epatowany. Był.

Futuryzm, chcąc nie chcąc, wziął czynny udział w dramacie społecznym. Jednak... Dramat rzeczy zarzucono.

Może warto o tym przypomnieć na marginesie dwóch sztuk i dwóch o nich recenzji. Chodzi oczywiście, bo innych sztuk dotąd nie wydano, o „Stary dworek” Adama Ważyka i „Wiosna 1944” Flory Bienkowskiej, oraz o dwie recenzje pióra S. Żółkiewskiego drukowane w „Kuznicy”.

Pisząc o „Wiosnie 1944” Żółkiewski wysuwa postulat polityczności sztuki. Piszec: „dla niektórych rodzajów literackich będzie to niemożliwe, dla innych natomiast jak np. prozy powieściowej i dramatu, stosunkowo łatwe”. Nie. I dla poezji nie jest to „niemożliwe” i dla prozy czy dra-

to ciekawe rzeczy, jakie były stroje, zbroje, zwyczaje współczesne, piękne i zarosłe mgłą niepamięci, a ledwie szczerkawo widoczne w języku wiejskim, w zabawach dzieci, w nazwach miejscowości.

Autor wolał jednak akcję, niż opisy. W zakończeniu zaznaczyć pragnę znowu, że moje uwagi mają względną wartość człowieka, interesującego się tematem.

I mam wrażenie, że nawet wszelka krytyka zawodowa jest w znacznym stopniu względna w odniesieniu do prac współczesnych.

Bowiem najlepszą ocenę wszelkiemu dziełu daje czas.

Juliusz Kędziora.

matu „łatwe”. Dowodem na to drugie choćby obie sztuki.

Są to sztuki tak podobne pod względem sytuacji, typów, nawet drugoplanowych, że albo wynika to z b. nieskomplikowanego zjawiska „pisanie pod wpływem”, ale wtedy Żółkiewski musiałby coś o tym napisać, jako krytyk pragnący artystę nie tylko oceniać i wręczać cenzurę „Pierwsze wielkie wydarzenie teatralne w odrodzonej Polsce” (O wystawieniu w przyszłości sztuki Ważyka) — ale pragnący artyście pomagać w artystycznym samookreśleniu postawy politycznej, albo... Jeśli więc przyjąć, że nie ma nieuwagi, czy tolerancji ze strony krytyka, to mamy do czynienia ze złą schematyzacją słusnej tezy politycznej sztuki, do której zresztą nawołuje się tak schematycznymi zawołaniami jak „pisarz musi reagować tak samo emocjonalnie i bezpośrednio na krzywdy klasowe, jak w po wiesci psychologicznej reagował na przeżycia jednostki”. Dziś kiedy po liryczną laurkę klasy ciemniejszej chciałyby sięgnąć bez mała... ziemiaństwo, powtarzanie w literaturze przewyżczających życiowo schematów, może być interesujące przede wszystkim dla literatury historycznej, będącej sumieniem społecznym historii, nie współczesności. Przed pisarzem współczesnej demokracji ludowej stoi zadanie hartowania sumienia proletariatu, nadawanie mu siły godnej sprawowanych rządów. Powtarzanie o wycierpianej krzywdzie jest pedagogiczne, ale dla sztuki i ambicjami nieciekawie. Są inne, bliższe motywy: tropienie sojuszników re akcji we własnych formach prywatnego i zbiorowego życia, wierzeń i t. p.

Otóż, o ile w sztuce kryteria dobra i zła są trudnowymierne i wątpliwe, to historia daje świadectwo prawdziwej politycznej dobitnie i jednoznacznie. Porażka żywiołów sanacyjnych i prawicowo-faszystowskich w walce o Polskę, jest faktem już historycznym. Sztuka powinna dać temu wyraz, ale w swoich wymiarach. Powtarzanie na scenie rzeczywistości politycznej nie może sprostać tezie upolitycznienia sztuki. Tak istnieje rymowana publicystyka o b. szlachetnych tendencjach, której nikt nie nazywa poezją, tak mogą być paroktawne sceniczne broszurki „uświadamiające”. Co dla literatury może z tego w najlepszym razie wynikać? Nic.

Obie nasze sztuki dzieją się w ścianach dworku. W obu występuje dziedzic, podparty w jednej synem, w drugiej popelnikiem leśniczym. W obu młoda „żona” przeżywiająca inteligenckie weltschmerz, którym, co najzabawniejsze, partnerują z współczuciem właściwi, chłopcy czy partyzanci bohaterowie. W obu pokrywają się nawet drugoplanowe postaci bohaterskiego dzwierzęcia wiejskiego. Obie sztuki powtarzają refren o „staniu z bronią u nogi” — A.K. (Bienkowska jest tak subtelna, że używa „pseudonimu” B.K.) o hamowaniu walki przez reakcję, nie pogłębiając nawet, nie tłumacząc. Nie mówiąc nawet, że nie tyle zbrodnia była taktyka czekania na słabość wroga (przecież nikt Francji ni Czechom nie czyni z tego zarzutu, bo by się kompromitował jakimś sarmackim kultem szablistego gestu) ile kryjące się za tym wyrachowania polityczne. Polak zbyt dobrze pamięta tragedię powstania warszawskiego, by mógł na wyrzuty z powodu opóźnienia akcji zbrojnej nie zapytać — JAKO? I sztuka upolityczniona powinna mu na to odpowiedzieć, o ile nie chce, czy nie może tego zrobić biedna publicystyka. Powinna mu pokazać, że za postawą „stania z bronią u nogi”, kryły się perfidne wyrachowania, i że to one muszą być potępione.

Nie należy narażać postulat polityczności sztuki, a porażkę przez wiązanie go z realizacjami artystycznie ubogimi. Gdybyśmy zresztą mieli do czynienia z jedną sztuką Ważyka, nie byłoby powodu do obaw. Dwie takie same sztuki nasuwają lęk przed fałszywym pojmaniem postulat upolitycznienia sztuki, który wiąże się przecież z naszymi czasami narodzić społecznego sumienia humanizmu. Jeśli „Kuznica” chce konsekwentnie stanąć o jego wyrazie, to musi być bardziej krytyczna wobec osiągnięć, które może stanowić pozytywną sceniczną aktualizację pewnych zagadnień dnia wczorajszego, ale nie mogą być uznane za symptomat nadchodzącej sztuki. Sztuki odpowiedzialnej społecznie.

R. B.

KSIĄŻKA W ŚWIECIE

„Wschodnia Europa w międzyczasie wojen 1918 — 1941” — Hugh Seton Watson, Cambridge University.

O wschodniej Europie w Anglii było

przed wojną mało co wiadome. Zresztą nie tylko o wschodzie. Anglicy, za przykładem Lloyd George'a, zdążyli zasłynąć swą ubogą wiedzą na tematy geografii i kultury europejskiej. Brak nastawienia do nauki języków obcych, orak zamiłowania do szeroko pojętej turystyki, powodował, że Anglik rozumiał wyjazd poza granice swojego kraju — tylko jako wycieczkę wypoczynkową do luksusowych hoteli Rivier czy Sycylii, lub też jako podróże agentów handlowych. Rzecz oczywista, to podejście nie ułatwiało zrozumienia wewnętrznych problemów europejskich.

Istniała wszakże instytucja angielska, której ciekawość dla wewnętrznych problemów europejskich była dobrze znana — nazywała się „Intelligence Service” — brytyjska służba wywiadowcza. Intelligence Service, jedna z najpotężniejszych organizacji wywiadowczych świata, nie było tylko wywiadem wojskowym, trudniącym się rozpoznawaniem przygotowań wojennych. Intelligence Service było nerwem całej światowej polityki angielskiej, zarówno militarnej, jak i gospodarczej, jak i dyplomatycznej. To też jego zainteresowania były wszechstronne.

Hugh Seton Watson spędził ubiegłe siedem lat jako oficer wywiadu brytyjskiego w ciągłym kontakcie z krajami Europy Wschodniej. Miał zatem sposobność poznania poruszanych przez siebie zagadnień „od podszewki”. Wykorzystał też doświadczenia, nabyte w książce, która wzbudziła duże zainteresowanie i zdobyła poważny wpływ na poglądy społeczeństwa anglosaskiego. Ukazanie się tej książki jest dowodem, że opinia publiczna angielska przestała uważać problem poznania Europy — jako problem techniczny - politycznej natury, że na skutek wojny ożywiły się zainteresowania dla warunków życia ludzi po tamtej stronie — nie tak znowu szerokiego Kanału La Manche.

Hugh Seton Watson bada w swej książce po kolei każdy z poszczególnych krajów Europy Wschodniej, począwszy od Polski na północy, kończąc na Bułgarii na południu. Rozważa zarówno historyczne, jak i geograficzne właściwości, budowę socjalną, możliwości ekonomiczne, doświadczenia polityczne każdego narodu.

Obraz, który kreśli, jest przygnębiający. Chwilami nawet można stwierdzić przesadny krytycyzm w stosunku do narodów europejskich. Tam bowiem, gdzie autor jakiegoś zjawiska nie rozumie, gdy wydaje mu się z angielskiego punktu widzenia nienormalne — to zalicza je bez wahania do wad, dowodzących niedorozwoju danego narodu. Jest to zbyt uproszczona metoda oceny. Warunki rozwoju inne były wśród burzliwych dziejów Europy Wschodniej, inne w zaciśniętym wysp angielskich. Trzeba jednak przyznać obiektywnie, że poza nadmiernym nieraz krytycyzmem — znajdujemy w pracy H. S. Watsona wiele wytrawnej wnikliwości, dużo inteligencji i współczucia we wnioskach. Nie zbywa mu też na odwadze zalecania środków poprawy, mających na celu dobro, tak poszczególnych narodów, o których pisze, jak i własnej ojczyzny autora.

W analizie wschodniej Europy w czasie między wojnami ujawnia się przede wszystkim gorące życzenie autora, aby wpływy brytyjskie mogły się przyczynić do ustalenia sprawiedliwości i postępu w świecie. „Miliony spoglądają z nadzieją na Anglię — pisze autor — spodziewając się po niej nie tylko zniszczenia wroga, lecz ustalenia pokoju, chęć widzieć w niej nie nowego zdobywcę, któryby Niemców zastąpił, lecz przyjacielela współdziałającego w odbudowie ognisk domowych i wolności. Nie wszyscy się jednak po Anglii tego samego spodziewają. Niektórzy myślą o niej, jako o potęgę zchowawczej, opornej wobec wszelkich przemian społecznych... Inni znów wspominają stulecie angielskiego liberalizmu, uważają Wielką Brytanię za wierną ostoję ludzkiej wolności, stałego sprzymierzeńca w zmaganiu szarego człowieka w walce o sprawiedliwość”.

Wypowiedziawszy się przeciwko zarówno imperialistycznym zakusom w polityce angielskiej, jak i przeciw bronieniu przez nią wsteczności społecznej — utwór wyraźnie wskazuje na ostatni czynnik — jako na podstawę działalności, angielskiej w Europie — wolność i sprawiedliwość dla wszystkich. Hugh S. Watson, typowy przedstawiciel pokolenia dobiegającego obecnie trzydziestki, dużo więcej przywiązuje wagi do problemów społecznych niż politycznych, lub narodowościowych Europy Wschodniej. Nie mniej jest on raczej radykałem niż socjalistą. Dla niego chłop i robotnik wschodnio-europejski jest człowiekiem, mającym pełne prawo do indywidualnego życia, a nie wyłącznie częścią składową obmyślonego systemu pracy zbiorowej. Ludy wschodnio - europejskie żądają przede wszystkim — twierdzi on — oświaty przed bogactwem, szczęścia, a nie chwały, w myśl tych postulatów napada on zaciekle na wszystkie rządy Europy Wschodniej, za wyjątkiem Czechosłowacji, które istniały między wojnami: ubóstwo ludów, brak dostatecznej oświaty, zła administracja i nieodpowiedzialna przed nikim klasa rządząca — oto co zniszczyło wszelką nadzieję zapanowania nrawdziwej demokracji we wschodniej Europie. Rządy silnej ręki — były jedynie zachłanne, brutalne rządy klasowe, zerujące na narodzie wyłącznie przy pomocy bagnetów policyjnych.

Jest w tym opisie niewątpliwie przejaśnienie. Autor bowiem nie ocenia

trudności politycznych, wśród których żyły narody Europy Wschodniej na skutkach rozlicznych błędów Traktatu Wersalskiego. Bez wątpienia w szeregu wypadków względu na politykę narodowościową przeważały nawet nad względami na potrzeby społeczne. Nie wystarczy stwierdzić wyższość problemów społecznych, trzeba umieć je jeszcze pogodzić z innymi palącymi problemami chwili. Nie dodaje też autor, że między innymi i egoistyczna polityka ekonomiczna wielkich mocarstw stwarzała warunki dla ubóstwa i braku oświaty, co z tym idzie — dla nierówności klasowych.

Końcowe natomiast wnioski autora trafiają w istotę problemów możliwości rozwoju narodów Europy Wschodniej:

„Dopóki Wschodnia Europa pozostanie siedliskiem niepokoju, samowoli politycznej i międzynarodowych nieporozumień — nie zapanuje w całej Europie ani pokój, ani jakkolwiek trwałe stabilizacja stosunków. Czynniki nieporozumień mogą być jedynie usunięte za pomocą reform tak społecznych, jak i ekonomicznych i wychowania młodego pokolenia w duchu marzytelstwa narodowościowego. Zadanie to da się przeprowadzić jedynie o ile Wielka Brytania, Związek Sowiecki i Stany Zjednoczone utrwalą ściśle swą współpracę. Współpraca anglosowiecka, to jednak znacznie więcej, niż utrzymanie pokoju siłą. To istotna współodpowiedzialność tych państw za zorganizowanie stałego systemu w Europie”.

Kronika kult. - naukowa

Przed tygodniem ukazał się zeszyt 2/3 miesięcznika „Nauka i Sztuka” wydawanego przez profesorów: J. Krzyżanowski go i St. Kuczyńskiego. Razem z wydanym poprzednio nr. 1 periodyk ten zamyka pierwszy rok swego istnienia. Dziś przeto można już zdać sobie sprawę z całości, można zrobić pewne podsumowanie. Nie ulega wątpliwości, że „Nauka i Sztuka” jest wydawnictwem niezwykle dodatnim w obecnym układzie stosunków kulturalno-naukowych. Przeżywszy okres powodzi rozmaitych periodyków, które powstają nie wiadomo dla kogo i poco, bo nie można tej masy rozmaitych pism ocenić jako objaw dodatni w naszej rzeczywistości. Nie ulega wątpliwości, że głód słowa pisanego jest olbrzymi. Cemu jednak wysiłki są tak rozstrzelone, czemu nas nie stać na parę dobrych pism zamiast produkować masy miernych, w których przeciętny czytelnik często się gubi. Nie wiemy też, czy wszyscy zdają sobie sprawę, że jest to marnotrawstwo wysokiego gatunku, marnotrawstwo, które wyda i już wydaje owocem zastraszającym. Będąc pracą naukową leżą w rękopisach, a dobra polska literatura piękna, której złąkniony jest czytelnik, obojętnie czy robotnik, czy chłop czy inteligent, podziela losy tych ostatnich. Zwłaszcza prace naukowe nie wyszły dotąd w wielu wypadkach z zaczerpniętego koła różnych trudności doby powojennej. Prace, które powstawały w mrokach okupacji niemieckiej, pisane z ogromnym poświęceniem i z szalonymi trudnościami natury duchowej i materialnej, prace, które były tworzone z myślą o lepszej rzeczywistości dnia codziennego, że będą służyły Polsce, nie znajdują w wielu wypadkach wydawcy, gdyż nie jest to popłatne, nie służy doradczym celom doby obecnej.

Zdajemy sobie sprawę, że nie tylko książka czysto naukowa jest pozytywnym czynnikiem w ogólnym postępie kulturalnym narodu. Nie mniejszą wagę ma tu praca o charakterze popularniejszym, bez przeciążenia balastem skonstruowanych dowodów, pewników czy twierdzeń naukowych, podana jednak rzeczowo i na poziomie naukowym. Ale i tego rodzaju prac nie widać na rynku księgarskim. Tym większa przeto zasługa i celowość „Nauki i Sztuki” w obecnej rzeczywistości, tym bardziej, że poziom prac jest b. wysoki, całość skonstruowana jest bardzo dobrze. Piszą wybitne nazwiska z grona uczonych polskiego świata naukowego.

Naturalnie czasopismo ma też i swoje braki. Podniesiono dlaczego „Nauka i Sztuka” nie zapełnia luki, jaka powstała po przedwojennym „Przeglądzie Współczesnym” redagowanym przez prof. Wędkiewicza. Zapomniano jednak o rzeczy najważniejszej. O tym, że „Przegląd” miał kilkanaście lat istnienia, że skupiał koło siebie ludzi, którzy pisali tam od lat, że wreszcie wychodził w Stolicy nie tylko nominalnej, ale faktycznej, gdyż tam właśnie skupiało się całe życie kulturalne Polski w przeciwieństwie do chwili obecnej, kiedy wysiłki są rozproszone po miastach prowincjonalnych. Tym można wytłumaczyć chwilowy brak prac na zagadnienia społeczne i gospodarcze i po części artystyczne, zwłaszcza w dziedzinie ocen wartości estetycznych. Brak ten usunie niewątpliwie czas. Ludzie, którzy by tę lukę zapełnili, znajdują się zapewne niebawem tak, że miesięcznik ten nabierze cech wszechstronności, stanie się „prze glądem współczesnym” nauki i sztuki w całym tego słowa znaczeniu i nie będzie niepokoił pewnych recenzentów, którym brak poczucia zrozumienia warunków doby obecnej w zakresie naukowym.

W Warszawie ukazało się czasopismo p.t. „Meander”, które jest poświęcone kulturze świata starożytnego, wychodzące pod redakcją prof. U. W. K. Kumanieckiego i prof. U. W. K. Michałowskiego.

wydawane przez znaną firmę naukową Trzaska, Ewert i Michalski w Warszawie.

Mając pierwszy numer tego, tak potrzebnego czasopisma w ręku, mimowolnie przechodzą na myśl wysiłki i szalona praca, jaką podjął prof. R. Ganszyniec we Lwowie przez swoje wydawnictwa, służące krzewieniu kultury klasycznej w Polsce w okresie przedwrzesniowym. Lwów był z wydawnictwami Ganszyna prawdziwą kuźnicą polskiego humanizmu. Wobec zagrożonej w chwili obecnej łaciny w szkole średniej oraz w celu krzewienia nigdy nie przemijających wartości antyku czasopismo „Meander” jest bardzo na czasie. Dlatego też z prawdziwą przyjemnością znajdujemy w pierwszym numerze takie słowa: „Antyk jako zamknięta w sobie całość, antyk jako epoka, gdzie zrodziły się po raz pierwszy pojęcia filozoficzne, literackie i polityczne, jakimi żyje nasza kultura od dwu tysięcy lat, jest nauczycielem współczesności. Poznając starożytność, poznajemy współczesność. W tym sensie antyk zawsze jest żywy”...

Inną sprawą jest układ i poziom tego czasopisma. Dla młodzieży wyższych klas gimnazjalnych a nawet i licealnych się nie bardzo nadaje, ze względu na trochę za wysoki poziom, jeśli porównać z „Flomata” prof. Ganszyna i wziąć pod uwagę ogólne splycenie umysłowości młodzieży powojennej. Do „Przeglądu Klasyfikacyjnego”, który był pismem przede wszystkim pedagogicznym, też nie jest podobnym w całym tego słowa znaczeniu. Poziom został wyśrodkowany, został „Meander” pismem wielbicieli kultury klasycznej, jej piękna i nieprzemijających wartości twórczych antyku. Czy jednak spełni swoje zadanie? Trudno odpowiedzieć z pierwszego numeru. Brak mu przede wszystkim tej postawy bojowej, jaka cechowała wydawnictwa prof. Ganszyna. Dziś właśnie wobec głosów za zniesieniem łaciny, która jest jedną z podwalin pod nieprzemijające wartości twórcze antyku (które tylko w tak wąskim zakresie docierają do umysłowości ucznia) polscy humaniści i klasycy powinni zająć postawę bojową, gdyż taką postawę winno cechować umiłowanie świata starożytnego w obecnej rzeczywistości, co z „Meandra” tego na razie nie widać. Pismo to nie ma charakteru pedagogicznego, ani tym bardziej dydaktycznego — jego treścią jest danie możliwości obcowania z kulturą klasyczną szerokim rzeszom czytelników i w tym tkwi jego wartość w chwili obecnej.

J. Ant.

Tygodniowy przegląd kulturalno-artystyczny.

W ostatnim tygodniu Warszawa miała niewiele imprez poważnych, sporo natomiast rozrywkowych, a mianowicie: występ Chóru Juranda, 2 wieczory piosenki, tańca, humoru i aktualności w wykonaniu Chmurkowskiej, Selmówny i Jaksztasa

Koncerty.

Do imprez poważniejszych należy zaliczyć **Wielki Koncert Polskiego Związku Zachodniego** — Oddział w Szczecinie, zorganizowany w sali Roma dnia 2 lutego pod protektorem Ministra Kultury i Sztuki. W koncercie tym wzięli udział: Chmurkowska, Gadeyska, Hupertowa, Prusicka, Bregy, Fogg, Jaksztas, Karolkiwicz, Rachoi, Szpilman i Wojtaszewska. Słowo wstępne wygłosił zwięźle Prezes Polsk. Związku Zach. w Szczecinie, Mgr. Jerzy Tarnowski, podkreślając znaczenie Związku. Związek Zachodni w Szczecinie jest pierwszym, który powstał na terenie ziem odzyskanych i do tego największym, liczy bowiem przeszło 1000 członków. Związek ten przyczynia się do organizowania życia gospodarczego i kulturalnego, a także sprawuje opiekę nad ludnością polską. Zaznaczywszy, czym jest dla nas port w Szczecinie, Prezes Związku zakończył swoje przemówienie gorąco oklaskiwanymi słowami: „Szczecin był, jest i będzie polski. W części pierwszej koncertu najkorzystniej wypadł występ Stefana Rachonia, który z wielką czystością i łatwością techniczną wykonał na skrzypcach Nokturn Różyckiego, Krakowiak Statkowskiego, Mazur Młynarskiego i na bis Burleskę Andrzejowskiego. W wykonaniu Hupertowej usłyszeliśmy między innymi piękną Pieśń Gruzinią Rachmaninowa. Bregy porwał publiczność w pieśni ludowej Adama Wieniawskiego. Wiersz Ochodrowicza „Taniec śmierci” w interpretacji Jaksztasa nie dał spodziewanych wrażeń artystycznych. Podkład muzyczny do tej melodeklamacji obniżył wartość utworu zamiast ją podnieść.

Dnia 3 lutego w Szkole im. Karola Kurpińskiego odbył się recital znanej skrzypkaczki, **Grażyny Bacewiczówny**, której gra przyjmowana była przez publiczność z dużym entuzjazmem. Trudny i bogaty program (Preludium i Allegro Pugnani-Kreislera, Tziganne Ravela, Nokturn i Tarantella Straznowskiego) zawierał między innymi dwa nowe utwory koncertantki: Sonatę da camera i kaprys.

Środa literacka.

Wieczór poezji **Janiny Brzostowskiej**, który się odbył w dniu 6 lutego, przyniósł nam prawdziwe przeżycie artystyczne. Poetka przemówiła do nas głęboko swą szlachetną, pełną bezwzględnej szczerości liryczną. Część pierwsza wieczoru poświęco-

na była wierszom własnym ze zbioru „Żywioł i śpiew”, wydanego w 1939 roku, zaś część druga obejmowała wiersze o charakterze społeczno - narodowym, oraz wiersze różne. Zwłaszcza „wzięła nas” część pierwsza mająca charakter spowiedzi, która płynie z najtajniejszych zakamarków wrażliwej duszy kobiecej. Dla Brzostowskiej miłości jest nadwartością życia. Pierwsze trzy odczytane wiersze p. t. „Wspomnienie”, „We śnie” i „Wspominam ciebie” są obrazem budzącej się pierwszej miłości. W wierszach następnych poetka dała wyraz świadomości już uczuć miłości brzmiących nutą szczęścia. Dalsze utwory: „Nie przyjdę już”, „Już nie powiem”, „To te drzewa”, „Radio”, „To tęsknota” — wszystkie zasługujące na wyróżnienie — pełne są bólu spowodowanego rozłąką. Ale po zwątpieniach powraca znowu szczęście („Godzina, która przeszła”, „O miłości”). Ileż wyrazu mają w sobie te krótkie, owiane prostotą i naturalnością wiersze, w których refleksyjna pointa za każdym razem porywa wdziękiem. Zarzucić poetce można jedynie pewną jednorodność słów powtarzających się zbyt często, a używanych od lat w języku miłości. Ostatnie, po wojenne utwory Brzostowskiej mają język bardziej wybredny i posiadają oryginalne metafory i asonanse. Z pośród utworów wyróżniających społeczną postawę Brzostowskiej najładniejszy jest wiersz „Dom pod Warszawą”. Charakterystyczne dla poetki są słowa: „Nie ten potrzebny trud, który się skarży bezustannie, ale który buduje”. W innym znowu wierszu poetka ludziom osieroconym rzuca takie wezwanie: „Słowo tracić niech się nie pla-ta z ginąć”. Hołd ojczyźnie, a w szczególności Warszawie składa Brzostowska w wierszu „Warszawa zwycięska”. Piękne są słowa: „Warszawa, ciałami obrońców opleciona jak cierniem”. Przejmujący jest wiersz „Sierpień 1944 r.”, odzwierciedlający patos dziejów. Z wierszy różnych na wymienienie zasługują „Samotność” i „Któż to powiedział”.

Utwory Brzostowskiej recytowała Irena Kwiatkowska, przeplatając je omówieniem twórczości poetki skreślonym przez Jerzego Płomińskiego

Wiersze Brzostowskiej tłumaczone były na języki: czeski, włoski, niemiecki, rumuński i serbski, a jej powieść „Bezrobotni Warszawy” wychodziła w Ameryce, w jednym z tamtejszych pism.

CYRULIK SEWILSKI

W świecie muzycznym nieraz dyskutowano ostatnimi czasy na temat przeżycia się opery. Ci, którzy bronili tego gatunku sztuki, mają obecnie atut w ręku: **Opera Warszawska** jest dzień w dzień oblegana przez publiczność, mimo, że ceny biletów są dosyć wysokie. A zatem ten rodzaj sztuki odpowiada szerokiemu ogółowi, który widać nie dostrzega konwencjonalizmu i sztuczności widowiska operowego. Jeżeli chodzi o „Cyrulika Sewilskiego”, to sam w sobie bronii on gatunku operowego, tak porywająca jest jego muzyka, oraz dowcip sceniczny. Niedawno złożyły się na tę słynną operę buffo dwa genjusze — Rossinego i Beaumarchais'ego.

Opera tryska typową dla Włochów i Francuzów beśpłodnością i humorem. Pierwsze przedstawienie napisanego w przeciągu 13-tu dni „Cyrulika” przyniosło Rossiniemu — jak wiadomo — niepowodzenie. Jednym człowiekiem, który bił na pierwszym przedstawieniu brawo, był sam Rossini. Ocenik należyce wartość swego dzieła, jakby przeczuwając późniejszą jego sławę i żywotność. Zresztą sława przyszła zaraz, już bowiem następne przedstawienia „Cyrulika” cieszyły się ogromnym powodzeniem publiczności, która nie mogła pozostać obojętna na bogactwo melodyj, temperament i humor opery. Komizm i groteskowość sytuacji, oraz typów stworzonych przez Beaumarchais'ego znalazły pełny wyraz w barwnej muzyce Rossinego, okraszanej bogato w partiach śpiewających koloraturą.

Śmiało rzec można, że „Cyrulik Sewilski” nie należy do oper przestarzałych i wciąż oglądamy go, a zwłaszcza słuchamy z pełną satysfakcją. Dla tego też wystawienie go w Warszawskiej Operze przyjęte było z takim entuzjazmem. A jednak trzeba obiektywnie stwierdzić, że nasza maleńka opera w tym wypadku nie może niestety spełnić należycie swego zadania, gdyż „Cyrulik” w żadnym razie nie podpada pod miano oper typu kameralnego. Strzelistość linii melodyjnej zwłaszcza w scenach zbiorowych (np. wielki kwintet w akcie drugim) wymagają innych ram. Mimo wielkich starań ze strony reżysera (Stanisław Cegielski) starań, które niejednokrotnie osiągnęły swój cel (zrećne rozplanowanie postaci w scenach zbiorowych), nie uniknięto natłoczenia na scenie, które jest chwilami zbyt rażące. Zato prawie bez zarzutu wypadła gra. Na wielkiej scenie operowej aktor oddalony jest od widza, dzięki czemu uwaga publiczności skupia się głównie na śpiewie i muzyce, natomiast na scenie tak miniaturowej jak nasza, śpiewacy są na pierwszym planie i każdy ich gest nabiera przez to ważności. Aparycja odgrywa z tym na naszej scenie operowej dużą rolę. Prawdziwą satysfakcję sprawił nam swą grą pełną wdzięku Józef Karolkiewicz (Figaro). Doskonałą kreację stworzył Józef Sendeki w roli Bartola — starego sknery, zardobnego i oblesnego opiekuna pięknej Rosiny, dybiącego na jej rękę i posag. Komizm tej postaci typowo molierowskiej, uwydatnił się w całej pełni, choć nie bez pewnej szarzy. Basilio w interpretacji Ka-

zimierza Poredy wypadł ciekawie i sugestywnie dzięki połączeniu demonizmu z groteskowością. Zwłaszcza oklaskiwany był Poreda za wspaniałą arię o plotec. Maryla Karwowska i Janusz Popławski stanowili dobraną parę, dobrze wywiązującą się ze swego zadania. Reszta zespołu poprawnie odtworzyła swoją rolę. Co zrobiło bardzo niemiłe wrażenie na kulturalnym słuchaczu, to niestyłowe uaktualnienie opery „upiększenie” jej takimi słowami, jak: alarm, szabrowanie, milicja. To efekt zbyt tani. Ogólne lekceważenie stylowości w całym przedstawieniu na rzecz komizmu obniżyło wartość widowiska. Dekoracje Cegielskiego jak i poprzednie nudne, pozbawione jakiegokolwiek artysty. Orkiestra (pod dyrekcją Tadeusza Mazurkiewicza) gra niestety ciężko i nie wydobywa w dostatecznym stopniu efektów muzycznych. Najbardziej wypadła Uwertura, której brakło temperamentu i blasku, oraz koniecznej poprawności.

SZOPKA POLITYCZNA

Jakże obiecująca jest dla naszej publiczności sama nazwa tej imprezy. A więc nareszcie będziemy mogli pośmiać się publicznie z naszych obywateli-polityki wielkich ludzi. Nareszcie ktoś odważył się tknąć ich ostrym satyry gwoli prawdy i wesołości. Ale spotyka nas zawód. Choć kukielki **Zaruby i Ulanowskiego** są doskonale (zwłaszcza Franca, Churchill, Nałkowskiej, Borejszy), tekst absolutnie nas nie zadawała. Za dużo w nim marudzenia, a za mało dowcipu, za dużo ostrożności, przed którą szerokość umyka w krzaki. Widac zbyt wiele spodziewaliśmy się po **Brzechwie i Minkiewicz**u. Zapomnieliśmy, że po okropnościach wojny niejedną dość już ma niedorzecznej odwagi. Bo trudno wprost uwierzyć, żeby słabostki naszych „figur” tak mało rzucały się w oczy satyrykom i to satyrykom wytrawnym, którzy mają z sobą to i owo. (Minkiewicz, jak wiadomo, niejedną już szopkę przed wojną ułożył). A więc jednak smętne mamy czasy. Chcieliśmy pośmiać się z całej duszy, a tymczasem uśmiechamy się tylko półgębkiem i to chwilami niezupełnie szczerze. Choć nie brak Szopce zręcznych rymów, choć są i dobre kalambury, humoru stanowczo nie dostaje. Wydaje nam się to trochę za mało jak na Szopkę dowiedzieć się, że „Rzymowski imię głośne jest w każdym reżimie”, usłyszeć od księcia Sapiehy: „Dam sobie radę z bolszewizmem, odkąd major Borejsza wydał mi dwa katechizmy”, albo też nauczyć się od Stonimskiego, że „lepiej cierpieć za miliony, niż za darmo”. Ciekawy pomysł wprowadzenia do Szopki, poza osobami fizycznymi, BOS-u i Kinofikacji wykorzystano dosyć niezręcznie. Zniżył nas rozylewany tekst i ubawiłmy się dopiero przy słowach: „Ani ja, ani ty nie umiemy roboty. Nie umiemy ani krzyć, bo nie mamy ochoty”. Dużą odpowiedzialność za brak odpowiedniego tempa ponosi aktorski zespół warszawski, który bardzo słabo wywiązuje się ze swego zadania. Głosy są monotonne, zbytnio podobne do siebie i nie ożywiają kukielki. Charakterystyczne, znane niejednemu cechy występujących postaci, nie są absolutnie uwydatnione za pomocą głosu. A więc pocóż jest teatr, jeżeli większą satysfakcję przynosi samo czytanie tekstu, niż obecność na przedstawieniu?

Wanda Bacewiczówna.

Listy do Redakcji.

Panie Redaktorze.

W Nr. 5(11) z dn. 3 lutego b. r. wiele poczytnego Pańskiego pisma ukazała się w Kronice Kulturalnej notatka p. I. Ant. o Muzeum Wojska. Nie mając żadnych zastrzeżeń co do ogólnej treści tego, poważnie i fachowo ujętego artykułu, pragnąłbym jedynie odpowiedzieć na zarzut, uczyniony poziomowi naukowemu, wydawanego przez dawne Stowarzyszenie Przyjaciół Muzeum Wojska, czasopisma **Broni i Barwa**, cieszącego się poczytnością nie tylko u nas, ale wielokrotnie cytowanego, jako źródło za granicą, a było to nb. jedyne czasopismo, poświęcone bronioznawstwu i munduroznawstwu.

Ponieważ znajdowałem się w liczbie założycieli Stowarzyszenia, cały czas w jego zarządzie i komitecie redakcyjnym, a pozatym jestem bez mała 15 lat kustoszem Muzeum Wojska, mogę się ośmielić na udzielenie pewnych danych, które może posłużą do osłabienia zarzutu „Stosunkowo niskiego poziomu” **Broni i Barwy**.

W liczbie stałych pracowników, zasila-

jących nb. bez honorariów autorskich tego redakcyjną byli: twórca i długoletni dyrektor Muzeum Wojska, ś. p. pułk. Bronisław Gembarzewski, którego nazwisko samo chyba mówi o poziomie artykułów, dyrektor Muzeum m. Lwowa A. Czolowski i kpt. mar. inż. W. Hubert, jęcy historycy marynistyki polskiej, ppłk. dypl. dr. Władysław Dżiewanowski, wykładowca historii wojskowości w Wyższej Szkole Wojennej i autor prac z dziedziny bronioznawczej, Dr. Wł. Tomkiewicz, profesor historii na Uniwersytecie Warszawskim, kapitan St. Łoza, powaga międzynarodowa w dziedzinie orderologii, dr. Zdz. Bocheński, kustosz Muzeum Narodowego w Krakowie, kapitan dypl. J. Podolski, wybitny znawca broni nazwiska to są do odnalezienia w bibliografii polskiej, poza nimi wielu innych znawców

i badaczy dawnych źródeł, sądzę jednak, że ta ilość nazwisk wystarczy dla odparcia tego, dość śmiałego, bądź co bądź zarzutu.

Nie powoduje mną tu chęć wywoływania polemiki z Wielce Szanownym autorem, a jedynie obrona słusznej sprawy i piom desiderium, by **Broni i Barwa** w ogóle się ukazała i wydobyła z ukrycia pióra najlepszych specjalistów, jak również, żeby w tej szlachetnej, bo naukowej rywalizacji nie ustąpiła w poziomie przed wojennej, 6 lat wydawanej, **Broni i Barwie**.

Stanisław Gepner Kustosz Muzeum

Wojska w Warszawie

Panie Redaktorze.

W związku z moją notatką na temat Muzeum W. P. pomieszczonej w nr. 5(11) „Dziś i Jutro” niezwykle zasłużony dla tej instytucji i prawa ręką ś. p. Dyr. pułk. Gembarzewskiego p. Kustosz Rtm. Gepner uczuł się dotknięty moimi zarzutami niskiego poziomu „**Broni i Barwy**” przed wrześniem 1939 roku. W związku z powyższym przeto jestem zmuszony oświadczyć:

1) „**Broni i Barwa**” była pismem Tow. Przyjaciół Muz. Wojska a nie organem naukowym Muzeum. Już z natury swej miała za zadanie szerzyć zamiłowanie do bronioznawstwa i munduroznawstwa a nie publikowanie poważnych prac naukowych, które by wiedzę naszą w tym zakresie posuwały naprzód.

2) Obecność wybitnych piór w zakresie tej specjalności i specjalności pokrewnych, nie wyklucza nie czysto naukowego charakteru pisma. Prace tam pomieszczone miały krzewić przede wszystkim zamiłowanie bronioznawcze i munduroznawcze w szeregach przyjaciół Muz. Wojska a nie dawać syntezy naukowej w znaczeniu czystym.

3) „**B. i B.**” zawierała przede wszystkim wielki materiał niezwykle cenny, przyczynkarski w formie publikacji materiałów naukowych i to jest jej wartością nieprzemijającą. Wartość naukowego pisma nie polega tylko na publikacji jednostronnej materiałów. Musi zawierać też i prace syntetyczne, powstałe na ile szerokich studiów nie tylko w pracowniach Muz. W., ale także w kraju i zagranicą. Przykład: „Występowanie mieczy wikingich w Polsce i Europie a teoria normańskiej genyzy Państwa Polskiego” i wiele im podobnych. Takich prac poza małymi wyjątkami w „**B. i B.**” nie było.

4) Przez swój format, objętość, periodyczność (miesięcznik) oraz przy małej stosunkowo ilości pracowników naukowych, pracujących w tym zakresie w Polsce, nie mogło być to pismo periodykiem naukowym w ścisłym tego słowa znaczeniu. Trzeba było rozpocząć od podstaw, przystosować grunt do właściwej pracy naukowej przez wciągnięcie nowego narybku drogą szerzenia zamiłowań i popularyzacji tej dziedziny. Poważne osiągnięcia w tym zakresie przetrwała wojna. Dziś trzeba rozpocząć od początku. Musi nastąpić nowy napływ młodych sił z uniwersytetów do Muzeum. Nie jest to jednak wszystko. Należy dać możliwość tym siłom pracowania twórczego. O tym wspomniałem w nr. 5(11) czasopismo „Dziś i Jutro”. Gdy to nastąpi „**B. i B.**” nabierze poziomu właściwego i godnie stanie obok pism zagranicznych tego pokroju.

Powyższe uwagi notuję celem wyjaśnienia mego stanowiska względem poziomu „**B. i B.**” w przyszłości oraz usunięcia nieporozumienia w zakresie poziomu i zadań tego pisma w przeszłości, którego rzecznikiem jest p. Kustosz Rtm. Gepner.

J. Antoniewicz

Asyst. Państ. Muz. Archeol. w Warszawie

Panie Redaktorze!

W związku z artykułem p. St. Ziembickiego w nr. 5(11) p. t. „Pokolenie dramatyczne”, mam zaszczyt zakomunikować Panu Redaktorowi następujące uwagi:

1. Pismo „Sztuka i Naród” zostało powołane do życia przez ś. p. Onufrego Bronisława Kopczyńskiego, który wychował pierwszy zespół współpracowników. O. B. Kopczyński, jako jeden z współtwórców światopoglądu uniwersalistycznego, zorganizował to wydawnictwo na polecenie kierownika Konfederacji Narodu.

2. Wszyscy kolejni redaktorzy pisma (ś. p. W. Bojarski, ś. p. A. Trzebiński, ś. p. T. Gajcy) byli członkami Konfederacji Narodu. Każdorazowy redaktor „Sztuki i Narodu” wchodził w skład kierownictwa wydziału propagandy K. N. U. Pismo było finansowane przez K. N. i drukowane w Biurze Technicznym K. N.

3. W sierpniu 1943 wydałem ś. p. Andrzejowi Trzebińskiemu polecenie zorganizowania „Ruchu Kulturowego”! Organizacja ta miała za cel objęcie swoim zakresem działania twórców ze wszystkich dziedzin kultury. Czynnikiem łącznym miał być światopogląd uniwersalistyczny, który jednocześnie stanowiłby podstawę do nowej twórczości kulturowej.

„Ruch Kulturowy” był organizacją samodzielną, apolityczną w sensie angażowania się w aktualne rozgrywki partyjne. Łączność z K. N. była utrzymywana za pośrednictwem Kierownika Ruchu.

Kiejstut

Z-ca Kierownika „Konfederacji Narodu”

SZEROKI

WIELE PAR JEDWABNYCH
POŃCZOCH

Jak dotąd, wiele krajów było skazanych na import przędzy jedwabnej z zagranicy. Powodem była kapryśność morwy — jedyne pokarmu jedwabników — która rośnie jedynie w klimacie umiarkowanym, a i tam jest bardzo podatna na wymarzanie.

Chodziło o wyhodowanie jedwabnika, który przystosował się do ogólnej sytuacji aprowizacyjnej naszego kontynentu i obniżył nieco klasę swych wymagań kulinarnych. Wielu specjalistów podejmowało to trudne zadanie i wielu porzucało je, przekonując się o niemożliwości urzeczywistnienia go. Widocznie zmyślny robaczek, przewidując swą gwałtowną śmierć, jaka czeka go we wrzącej wodzie, uparł się, postanawiając przynajmniej przed tym jeść odpowiednio wytwornie.

Dopiero grupie uczonych z Akademii Nauk Rolniczych Związku Radzieckiego udało się nakłonić jedwabnika do spożywania liści brzozy. Ten nowy, sztucznie wyhodowany gatunek jedwabnika daje w stanie surowym piękną, mocną nić o kolorze blade-kremowym. Pierwsze masowe próby hodowli na liściach brzozy w rejonie Leningradu dały jak najlepsze rezultaty, otwierając nowe możliwości przed przemysłem tekstylnym krajowi o klimacie zbliżonym.

Wiadomość ta jest pomyślna dla wszystkich — za wyjątkiem może brzozy, które gdyby mogły pojąć grożące niebezpieczeństwo, napewno drżałyby jak osika.

Osobę, która w listopadzie ub. roku udzieliła P. C. K. w Poznaniu wiadomości o powrocie mego męża, Gracjana Achremowicza, z Rosji, gorąco proszę o skomunikowanie się ze mną: Tuchola, woj. Pomorskie, Nowa Kolonia 3. Wanda Achremowiczowa.

ZAWIADOMIENIE

Rodzina Wacława Bojarskiego, poety, poległego w roku 1943, prosi wszystkich będących w posiadaniu Jego utworów lub materiałów o Nim o nadsyłanie ich na adres Redakcji „Dziś i Jutro”, w celu przekazania ich Rodzinie. Rodzina Poety (Warszawa, ul. Bednarska 23 m. 30) zastrzega wszelkie prawa autorskie.

Redakcja zwraca się do osoby, która w październiku 1944 odebrała część prac Włodzimierza Pietrzaka z konspiracyjnego mieszkania w Lesnej Podkowie, nie podając swych personaliów, aby zechciała dostarczyć przejęte materiały do redakcji „Dziś i jutro”, w celu przekazania ich Matce Poległego.

P. Zych Przybyszewski z Krakowa przesyła jest o zgłoszenie się do red. Kętrzyńskiego, w krakowskiej filii red. „Dziś i Jutro”.

Ktokolwiek wie o szczegółach śmierci Zdzisława Piaseckiego (Stawińskiego) z grupy „Radosław”, oddział „Mieczyski”, zmarłego 7.VIII.44, rannego na terenie szpitala im. Karola i Marii, potem przewiezionego do szpitala Jana Bożego — proszony jest o zgłoszenie się do redakcji.

KATECHIZM

Najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży (36 str., wydanie z 1945 r., rachunek sumienia, ministrantura, różaniec — cena 10 zł.) wysyła w paczkach za pobraniem lub po wpłaceniu na P. K. O. Nr konta w Łodzi VII — 608: ks. dr. Win. Helenowski, Gostynin, woj. Warszawskie.

Poszukuję rodziny Teodora Cetysa: RODZICÓW I SIÓSTRĘ zamieszkałych przed powstaniem w Warszawie
Dziwulski, Toruń, Danielewskiego 6



ACH, JAK TO PRZYJEMNIE POMYŚLEĆ, ŻE TEJ NOCY NIE MOŻE SIĘ NIC ZŁEGO PRZYTRAFIĆ...

Angielski rysownik z „Punch'a” trafnie scharakteryzował istotę problemu, który ciąży nad całą Europą powojenną. Człowiek, który patrzy z zaufaniem w niebo, wiedząc, że nie spadnie nań stamtąd deszcz bomb lotniczych, któraś z kolejnych niemieckich bomb odwetowych czy inny genialny wynalazek do zabijania, nie spodziewa się nawet, że mord i rabunek są znacznie bliżej niego.

Nad naszym kontynentem i nad wyspami brytyjskimi przechodzi wielka fala zbrodni. Nie sposób wprost wyliczyć powody, które złożyły się na rozkwit bandytyzmu na wielką skalę w krajach dotkniętych przez wojnę. Klęska ta pochłania codziennie wiele istnień ludzkich, ko-

sztuje skarby wyniszczonych krajów miliony na utrzymywanie coraz to większych kadr policyjnych i powiększa jeszcze tragedię szarego człowieka, który jakoś przejechał przez koszmary okupacji po to, by znowu żyć w niepewności własnego życia, zdanego ustawicznie na łaskę i niełaskę rozmaitych szumowin.

Wiele czasu napewno upłynie, zanim społeczeństwo da sobie radę z tym straszliwym objawem powojennego rozprężenia. Sama policja, choćby najbardziej sprawna i ofiarna, nie tu nie poradzi. Trzeba znaleźć inne sposoby, inne metody, byśmy wszyscy rzeczywiście mogli ze spokojem rzec, że „dziś w nocy nic złego nie może się przytrafić”.

W TEN PIERWSZY SYLWESTER PO WOJNIE...

Ta krótka historia jest może niezbyt pasjonująca, ale zato stanowi smutny obraz powojennej rzeczywistości, dla tylu młodych ludzi, którzy przed laty pożegnali się, by iść na wojnę i pożegnanie ich było ostatnim. Szczególnie dla nas, w Polsce, ma ona swoją wymowę — tyłu z pośród nas rzekło kiedyś „do zobaczenia” ludziom, których już nigdy nie ujrzymy.

A było to tak: jeżeli Amerykanin chciał na początku 1941 roku, kiedy Stany Zjednoczone nie weszły jeszcze do wojny, walczyć o wolność świata, to najlepszą szansę dawało mu wstąpienie do Królewskich Kanadyjskich Sił Powietrznych, które szkoliły lotników i wysyłały ich na front. Tak też postąpili Paul Forcey i Seth Parker, którzy w Toronto zaciągnęli się do wspomnianej formacji. Dostali się razem z innymi 48 młodymi ludźmi do szkoły lotniczej. Wreszcie, kiedy mieli już dyplomy pilotów i w nocy 15 września 1941 czekali na zaokrętowanie na statku, płynącym do Europy, Parker za-

proponował swym towarzyszom broni, że spotkają się znów po wojnie. Ustalono konkretnie, że spotkanie wszystkich 50 uczestników kursu wyszkoleniowego nastąpi w pierwszą noc sylwestrową po wojnie w hotelu Cadillac w Detroit. W trzy dni później ich statek podniósł kotwicę...

W Anglii wszyscy ci piloci zostali wcieleni do R.A.F.'u, przy czym czterdziestu wysłano do Afryki, gdzie wspierali VIII Armię brytyjską. Po roku walk w pustyni, Parker powrócił do Anglii i jako kapitan, został przeniesiony do IX Armii Powietrznej Stanów Zjednoczonych. Forcey dostał się do Indii i Birmy, gdzie również jako pilot myśliwski walczył przeciw Japończykom.

W noc sylwestrową w barze hotelu w Detroit Forcey i Parker trącili się kieliszkami. Byli jedynymi, którzy przybyli na spotkanie. Czterech ich kolegów nie mogło przybyć i przysłało swe wytłumaczenie. Cała reszta, 44 młodych ludzi, zginęła.

PAMIĘTASZ CAPRI?

Ta piękna wyspa, uwieczniona tylekroć w literaturze światowej, była niedawno terenem budującej uroczystości. Przemianowano mianowicie jedną z ulic, wiodącą do willi należącej niegdyś do niesławnej pamięci Galeazzo Ciano, z „Alej Ciano” na „Aleje 12 września”.

A oto odpowiedź dla ciekawych, szukających uzasadnienia tej nazwy: dnia tego wylądował na wyspie mały oddział a-

merykański, który unieszkodliwił kilku niemieckich żołnierzy, obsługujących tam stacje radiolokacji. Mieszkańcy Capri wspominają też z dumą, że ich oswojonym był niebyłe kto, gdyż sam Douglas Fairbanks junior, popularny aktor filmowy, walczył wówczas w szeregach wojsk Stanów Zjednoczonych.

Ta to życie realizuje niekiedy marzenia Lohaterów filmowych.

HORYZONT

MR. PIERREPOINT CZEKA NA SEZON

Wielu ludzi czeka z niecierpliwością na wynik procesu w Norymberdze, ale jest w Anglii pewien 49-letni pan, którego zainteresowanie ma pewne podłoże zawodowe.

Jest nim pan Albert Pierrepoint, urzędujący kat Zjednoczonego Królestwa, którego w więzieniach brytyjskich nazywają poufale „nasz Albert”. Jest on barczystym, poważnie ubranym jegomościami, który nigdy nie pali, a pija tylko piwo. Doniedawna miał on jeszcze sklep kolonialny, ale go zlikwidował, by objąć poswym 70-letnim wujaszku Tomaszu Pierrepoint, który przeszedł na emeryturę, jego dotychczasowe zajęcie. Opinię ma u swych klientów mimo niedługiej praktyki zupełnie niezłą, co powinno natchnąć serca oskarżonych w procesie norymberskim pogodną nadzieją i wiarą w lepsze jutro, kiedy to ten fachowiec odpowiednio dobierze im długość stryczka, by nie męczyli się zbyt długo.

Jak dotąd, mr. Pierrepoint utrzymywał swoje zajęcie w zupełnej tajemnicy, nawet przed swymi najbliższymi przyjaciółmi. Zrezygnował z niej dopiero ostatnio, kiedy wyjechał mia do Belzen na gościnne występy, dla obsłużenia tamtejszych nadludzi, skazanych w pamiętnym procesie. Mr. Pierrepoint uważał nawet, że jako dobrze wychowany człowiek, musi pożegnać się ze swymi kompanami karcianymi w knajpce na rogu, to też wyjaśnił im powody, dla których przez kilka dni nie będzie mógł uczestniczyć w stałej partyjce. Dodał przy tym, że napisze ładną widokówkę z Belzen, natychmiast, jak tylko „załatwi swą sprawę”.

ZESZŁOROCZNE SENSACJE.

Jak co roku, tak i teraz, wielka amerykańska agencja prasowa United Press sporządziła listę sensacji, jakie obiegły w roku 1945 prasę światową.

Ostatnia lista tego rodzaju, jaka została opublikowana jeszcze w czasach pokojowych, bo w 1938 roku, obejmowała między innymi wypadki tego rodzaju, jak skok samobójczy z hotelu Gotham w Manhattanie — obecna lista jest znacznie bardziej historyczna. Oto te wiadomości, które podajemy z zachowaniem oryginalnej kolejności: śmierć Roosevelta, śmierć Mussoliniego, śmierć Hitlera, kapitulacja Niemiec, powstanie Organizacji Narodów Zjednoczonych, zwycięstwo Partii Pracy w Anglii, wpadnięcie bombowca we mgle na drapacz chmur Empire State Building w Nowym Jorku, Deklaracja Poczdamaska, bomba atomowa, kapitulacja Japonii, sądenie zbrodniarzy wojennych, strajk w amerykańskim przemyśle samochodowym; inna agencja, International News Service, dodaje do tej listy także śledztwo w sprawie Pearl Harbour, o którym mówi cała Ameryka.

Stanowczo, jak na jeden rok, to tych wszystkich historycznych wydarzeń stanowczo za wiele. Był to, jak teraz widać, wyjątkowy dla dziennikarzy rok, który był się zupełnie bez sezonu ogórkowego. Tym to jest ciekawsze, że przynajmniej trzy czwarte tych sensacji przejdzie na zawsze do historii. Zdaje się przy tym, że i rok biejący zapowiada się z punktu widzenia dziennikarskiego zupełnie niezłe — ale chyba aż takich, jak w 1945 roku sensacji, nie będziemy mieli do zanotowania.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

W.ły Ks. B. Mudyna, Miechów. Życzenie Księdza spełniamy. Żałujemy bardzo, że nie będzie miał Książki okazji wydać opinii o piśmie na podstawie jego treści. Plotki kierują się starą zasadą: „calomnier, calomnier et il restera toujour quelque chose”.

P. M. M., Gliwice. Mimo wymownego spojrzenia pięknej fotografii, mimo odpowiedzialności za niespełnienie jeszcze jednego marzenia, mimo wymownej i sugestywnej prośby — naprawdę nie możemy zachęcać do wykończenia następnej noweli „Omyłka Wawrzona”. Nadesłanej noweli „Dzwony” — nie wydrukujemy. Fotografie przywożcie zwracamy.

Redaguje: Kolegium redakcyjne, Redaktor naczelny: Witold Bienkowski, Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński, Wydawca: Kolegium redakcyjne.

Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. K. O. — Nr I-727. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.

Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.

Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 85 złotych.

Złożono w Zakł. Graf. „Dzwignia” Widok 24. B-04952

Odbito w Drukarni „Czytelnik” Nr. 2, Marszałkowska 3-5.